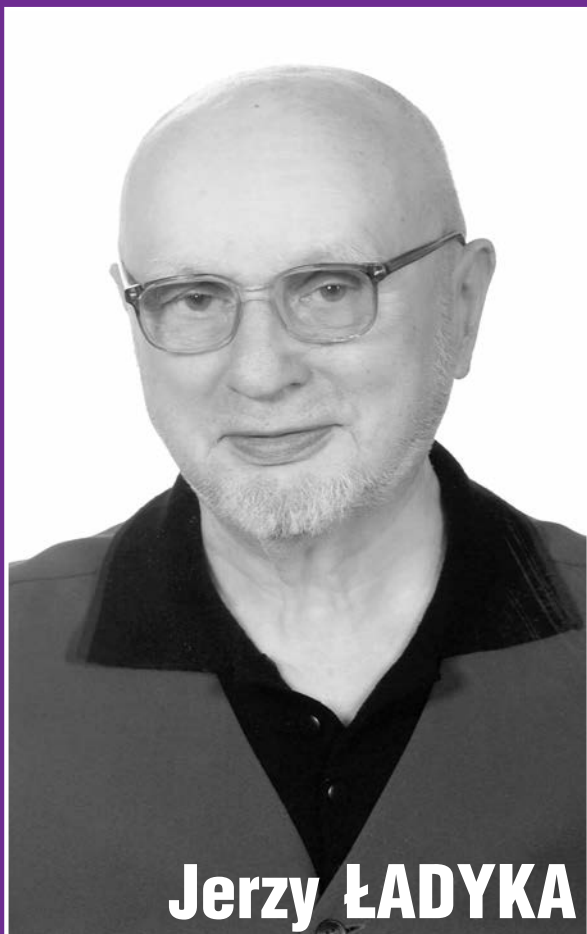


RES HUMANA

Humanizm
Racjonalizm
Kultura świecka

2 /111
2011 r.

DWUMIESIĘCZNIK • ISSN 0867-847X Indeks 33426X • Numer 2 (111) 2011 Rok wyd. XX • Cena 7,00 zł (w tym 5% VAT)



Jerzy ŁADYKA

**O sensie bycia
człowiekiem**

FAKTY • WYDARZENIA • OPINIE

- Przed wyborami do parlamentu
- Rok po katastrofie smoleńskiej: pytania do Jarosława Kaczyńskiego
- OFE: mity i rzeczywistość
- Koniec Komisji Majątkowej
- Przypadek Berlusconi

Janusz REYKOWSKI o perspektywie lewicowej dla Polski

DWIE ROCZNICE: Brzozowski i Miłosz
Michał HOROSZEWICZ o tematach religijnych z dystansu

Józef KOWALEWSKI o języku angielskim w globalnym świecie

Maria SZYSZKOWSKA, Eugeniusz KABATC, Waław SADKOWSKI w FORUM FILOZOFICZNO-LITERACKIM

Ponadto w numerze o wybranych książkach i czasopismach oraz kronika.



Spis treści

FAKTY • WYDARZENIA • OPINIE

Jerzy J. WIATR
Wybory 2011 a perspektywy lewicy/1
Zdzisław SŁOWIK
ROCZNICA KATASTROFY SMOLEŃSKIEJ
i pytania do Jarosława Kaczyńskiego/3
Daniel S. ZBYTEK
OFE: mity i rzeczywistość/4
Wacława MIELEWCZYK
Koniec Komisji Majątkowej/6
Radosław S. CZARNECKI
Przypadek Silvio Berlusconi/7

CZŁOWIEK I WOLA ŻYCIA

Jerzy ŁADYKA
Człowiek jest pasterzem bycia/8

CZAS DLA LEWICY

Od Redakcji
Janusz REYKOWSKI
O lewicowej perspektywie/11

DWIE ROCZNICE

W.S.
Wstęp/15
PROMETEUSZ ZAPOZNANY z
Eugeniuszem Kabatcem, autorem książki
o Stanisławie Brzozowskim, rozmawia
Wacław SADKOWSKI/16
Z PISM CZESŁAWA MIŁOSZA.
Traktat teologiczny/19
Państwo wyznaniowe?/20

RELIGIA • KOŚCIÓŁ • WSPÓŁCZESNY ŚWIAT

Wiesław ŁUKA
Światłość blednie?/22

Michał HOROSZEWICZ
O tematach religijnych z dystansu/24

OTWARTY ŚWIAT

Józef J. KOWALEWSKI
Językiem angielskim przez świat/29

Z ROZMYŚLAŃ NIEPOKORNYCH

Antoni ŁOZIŃSKI
Myśli o Homerze/34

FORUM FILOZOFICZNO-LITERACKIE

Maria SZYSZKOWSKA
Egipt i Polska/38
Eugeniusz KABATEC
Tańce polskie/40
Wacław SADKOWSKI
Non omnia palear/41

WŚRÓD KSIĄŻEK

Daniel S. ZBYTEK
Ludzkość na linie/44
Władysław LORANC
Widmo nowej „wędrówki ludów”/46
Marek JAWORSKI
W poszukiwaniu uciekającej pamięci/48
Wacław SADKOWSKI
Ku Nadmonadzie/49

W CZASOPISMACH

• Przegląd Socjalistyczny/51
• Przegląd/51
Ksawery S. PIWOCKI (wybór)/51

KRONIKA/III i IV str. okł.

REDAKCJA: Mariusz AGNOSIEWICZ, Zdzisław CACKOWSKI, Marek JAWORSKI,
Władysław LORANC, Jerzy ŁADYKA, Wacława MIELEWCZYK – sekretarz redakcji,
Lech M. NIJAKOWSKI, Wacław SADKOWSKI – z-ca redaktora naczelnego, Zdzisław SŁOWIK
– redaktor naczelny, Dionizy TANALSKI, Zbigniew WOJTKOWIAK, Daniel. S. ZBYTEK.

ADRES REDAKCJI: 00-553 Warszawa, ul. Koszykowa 24, tel. 625-44-69.

E-mail: reshumana@tlen.pl

WYDAWCA: Rada Krajowa Towarzystwa Kultury Świeckiej im. Tadeusza Kotarbińskiego.
www.kulturaswiecka.pl

Druk: Drukarnia Nr 1 w Warszawie, ul. Rakowiecka 37. Nakład – 1000 egz.; stawka VAT 5%.

FAKTY WYDARZENIA OPINIE

WYBORY 2011 A PERSPEKTYWY LEWICY

Dzieli nas nieco więcej niż pół roku od wyborów parlamentarnych, siódmym już od wprowadzenia obecnie obowiązującego systemu w pełni demokratycznego, opartego na proporcjonalnej ordynacji systemu wyborów do Sejmu. Prognozowanie ich wyników jest, jak zawsze, obciążone sporym ryzykiem, zwłaszcza dlatego, że ośrodki prowadzące sondaże przedwyborcze bombardują nas wynikami tak różnorodnymi, że podważają zaufanie do tej formy badania opinii publicznej. Chociaż więc trudno dziś przewidzieć, jak wyglądać będzie scena polityczna po wyborach, to nie jest zbyt wcześnie, by zastanawiać się nad najbardziej prawdopodobnymi konsekwencjami tych wyborów i nad strategią, którą powinna w nich obrać lewica.

Rząd Donalda Tuska idzie do wyborów z bilansem osiągnięć i niepowodzeń, które różnie ocenia się, w dużej mierze ze względu na poglądy polityczne i systemy wartości oceniających. Nie jest to, moim zdaniem, bilans jednoznacznie dodatni, ale także nie jest jednoznacznie ujemny. W porównaniu z ponurym epizodem rządów Prawa i Sprawiedliwości jest jednak niewątpliwie lepiej, zwłaszcza w sferze praw i wolności obywateli. Platforma Obywatelska wygrywa pamięć o rządach jej bezpośrednich poprzedników, by na obawie przed ich powrotem do władzy budować własne poparcie. To nadal będzie miało znaczenie dla części wyborców, ale strach przed powrotem PiS do władzy słabnie w miarę tego, jak coraz bardziej oczywiste jest, że partia ta ma zerową zdolność koalicyjną, a sama nie ma szans na zdobycie absolutnej większości pozwalającej jej sprawować rządy.

Platforma Obywatelska jest nadal najsilniejszą partią i zapewne zdobędzie względną większość w Sejmie. Właśnie względną, to jest taką, która zmusi ją do szukania partnera (lub partnerów) koalicyjnych. Kto nim będzie?

Nie ulega wątpliwości, że wymarzonym scenariuszem Donalda Tuska byłoby powtórzenie sytuacji z 2007 roku, a więc kontynuacja rządu koalicyjnego PO i PSL. Nie jest to scenariusz nieprawdopodobny. Do sukcesów rządu Tuska zaliczyć trzeba to, że udało mu się utrzymać koalicję, czego nie potrafili premierzy Jerzy Buzek, Leszek Miller i Jarosław Kaczyński. Wszyscy trzej (i ich ugrupowania) zapłacili za rozpad koalicji przegranych wyborami. Mimo różnic stanowisk (na przykład w początkowej fazie sporu o zmianę systemu emerytalnego) Platforma Obywatelska i Polskie Stronnictwo Ludowe pozostają w koalicji i będą ubiegały się o mandat na jej przedłużenie na kolejne cztery lata.

To jednak nie musi się udać. Poparcie dla Platformy Obywatelskiej spada a PSL balansuje niebezpiecznie blisko progu wyborczego. Może więc zabraknąć mandatów, by obecna koalicja mogła nadal rządzić.

W tym kontekście staje coraz bardziej wyraźnie sprawa ewentualnej koalicji z udziałem lewicy. Sojusz Lewicy Demokratycznej zdobył mocną pozycję trzeciej siły politycznej, a jego poparcie systematycznie rośnie. Zła passa prześladowająca lewicę od 2004 roku (przegrane wybory do Parlamentu Europejskiego) skończyła się. To jeszcze nie jest pełny powrót do politycznego zdrowia, ale jest to już wyraźny zwrot ku lepszemu.

Poprawa notowań politycznych SLD zaczęła się od kongresu tej partii w maju 2008 roku, a mówiąc wprost od wyboru Grzegorza Napieralskiego na przewodniczącego SLD. Wbrew narzekaniom krytyków, lamentujących nad jego „brakiem charyzmy” czy doświadczenia politycznego, nowy przewodniczący SLD

okazał się skutecznym przywódcą. Uzyskany przez niego wynik w zeszlórocznych wyborach prezydenckich – lepszy niż wynik Włodzimierza Cimoszewicza w 1990 a Marka Borowskiego w 2005 roku – stał się punktem wyjścia dla stałego wzrostu jego pozycji politycznej, co między innymi wyraża się w uznawaniu go w sondażach za najbardziej po prezydencie Komorowskim godnego zaufania polityka polskiego.

Pod kierownictwem Grzegorza Napieralskiego SLD odzyskał ideową wyrazistość, której rozmywanie się w przeszłości było jedną z najważniejszych przyczyn kryzysu tej partii. Dla ruchu laickiego jest to bardzo ważne i stanowi impuls do jeszcze bardziej wyraźnego wspierania tej partii w jej walce o oblicze Polski.

Poprawę pozycji lewicy zawdzięczamy więc zmianom, które w ostatnich latach nastąpiły w Sojuszu Lewicy Demokratycznej. Inne partie lewicy nie liczą się jako samodzielne podmioty polityczne. Ich szansą jest współdziałanie z SLD, co coraz więcej z nich rozumie. Pod tym względem sprawy nabrały pełnej jasności. **Nie ma na lewicy innej niż SLD partii zdolnej do przekroczenia prognozy wyborczego.**

Oznacza to, że cały potencjał lewicy powinien zostać skupiony wokół SLD. To ta partia – i tylko ona – jest w stanie zbudować szeroką koalicję lewicową tak, by nie zmarnował się ani jeden głos i by reprezentacja lewicy w nowym parlamencie miała w swych szeregach wszystkich najbardziej liczących się polityków lewicowych. To jednak wymaga zrealizowania dwóch warunków. Pierwszym jest gotowość SLD do współdziałania – także w wyborach – z wszystkimi nurtami lewicy, bez względu na wczorajsze różnice stanowisk a nawet złe słowa, które niekiedy pod adresem SLD kierowali niektórzy znani politycy lewicy. Ten warunek wydaje się spełniony. SLD pokazał niejednokrotnie, że chce i potrafi wnieść się ponad spory w łonie lewicy. Pytanie podstawowe polega więc na tym, czy spełniony zostanie drugi warunek. Jest nim gotowość uznania przez wszystkich partnerów szczególnej, kluczowej dla powodzenia lewicy, pozycji SLD. Jest on filarem nośnym każdej dającej gwarancje konstrukcji lewicowej. Bez SLD ugrupowania lewicowe są pozbawione szans politycznych. Mogą wyrażać różne odcienie poglądów, ale do Sejmu nie wejdą. Błędem konstrukcyjnym koalicji Lewica i Demokraci było to, że w imię fikcyjnej równości wszystkich partnerów rezygnowano z zapewnienia SLD takiej roli, która wynika z siły tej partii. Dlatego dziś nie idzie o odbudowę dawnej konstrukcji, o tworzenie jakiegos „LiD-bis”, lecz o zbudowanie wokół SLD jak najszerzej koalicji lewicowej. Powinno być w niej miejsce dla całego wachlarza ludzi lewicy, od radykalnej lewicy po umiarkowanych polityków SDPL, jeśli zdecydują się porzucić jałowe negowanie współpracy z SLD. Powiedzmy sobie jasno: bez takiej szerokiej koalicji lewicowej SLD i tak byłby w stanie zdobyć mocną pozycję polityczną, ale w ramach szerszej koalicji ma szansę na większy sukces, a tym samym na większy wpływ na sytuację polityczną po wyborach.

O co lewica powinna walczyć w tych wyborach? Jak powinna odpowiadać na pytania tych, którzy zastanawiają się, czy na nią głosować?

Celem lewicy w 2011 roku jest stworzenie sytuacji, w której nie będzie możliwe rządzenie Polską bez czy tym bardziej wbrew lewicy. To jest jak najbardziej możliwe, gdyż konflikt między PO i PiS osiągnął poziom, przy którym, jak napisał prawniczy poeta, „to co się podzieliło, to się już nie sklei”. Gdy politycy PiS zarzucają premierowi i prezydentowi odpowiedzialność (co najmniej pośrednią) za Smoleńsk, nie ma i nie będzie koalicji tych partii. Martwi to najbardziej prawniczych polityków Platformy, ale ich znaczenie wyraźnie zmalało.

Sojusz Lewicy Demokratycznej nie będzie partnerem koalicyjnym Prawa i Sprawiedliwości – nie tylko dlatego, że takiego partnerstwa nie chce Jarosław Kaczyński, ale przede wszystkim dlatego, że dla ludzi lewicy nie do zaakceptowania jest koalicja z partią, której minister doprowadził do zaszczucia i śmierci Barbary Blidy, partią ksenofobiczną i klerykalną, chorobliwie wrogą wszystkiemu, co kojarzy się z latami Polski Ludowej. To jest po prostu wykluczone. Non possumus.

Inaczej w wypadku Platformy Obywatelskiej. Nie podzielał opinii tych komentatorów, którzy wskazując na oczywiste wady Platformy dowodzą, że również z nią SLD nigdy i na żadnych warunkach nie powinien zawrzeć porozumienia po wyborach. Rzecz jednak w tym, że w samej Platformie toczy się podskórna walka między zwolennikami i przeciwnikami porozumienia z SLD. Niektóre zdumiewające posunięcia polityków tej partii (na przykład dziwne – zarazem niesmaczne – manewry wokół stosunku do byłego Prezydenta RP Wojciecha Jaruzelskiego) sugerują, że część polityków PO stara się utrudnić zbudowanie ewentualnej koalicji z SLD, gdyby wynik wyborów czynił taką koalicję logicznym następstwem nowej arytmetyki sejmowej.

Lewica powinna więc bardzo jasno określić swe stanowisko. Nie na każdym warunkach i nie za każdą cenę jest ona gotowa do współrządzenia. W Platformie Obywatelskiej musi wziąć górę nurt traktujący lewicę w sposób poważny i partnerski. Są w tej partii tacy politycy, ale są i inni. To Platforma Obywa-

telska będzie musiała dokonać wyboru – oczywiście, jeśli nie zdobędzie tak wielkiej liczby mandatów, że nie będzie musiała dokonywać wyboru.

To jest ważny wybór dla Polski. Koalicja PO-SLD, gdyby powstała, byłaby w stanie lepiej niż obecna koalicja rządowa radzić sobie z wyzwaniami, które stoją przed Polską, w trwały sposób modernizować kraj i łączyć rozwój gospodarczy z troską o tych, którym się nie powodzi, wzmacniać integrację europejską i normalizować stosunki z Rosją. Jest o co walczyć. Każdy głos oddany na lewicę zwiększa prawdopodobieństwo zrealizowania takiego scenariusza. Dobrego dla Polski.

Jerzy J. WIATR

ROZNIKA KATASTROFY SMOLEŃSKIEJ i pytania do Jarosława Kaczyńskiego

Im bardziej oddala się czas od dramatycznych chwil z 10 kwietnia 2010 roku pod Smoleńskiem, a mija właśnie rok od tego czasu, a także im więcej faktów czy opinii, wywołanych wieloma pytaniami o przyczyny i o winnych tej tragedii, wciąż płynie do opinii publicznej, tym bardziej pozostają, jakby chronione, pytania, na które dotąd nie ma odpowiedzi. A mogą to być odpowiedzi najważniejsze dla wyjaśnienia tej sprawy.

Pan osobiście i Pańscy współpracownicy zadali dotąd takich pytań bardzo wiele, i zadają je nadal. Co więcej, organizują nie mające nic wspólnego z powagą sprawy hałaśliwe zgromadzenia polityczne, które mają wzmacnić te pytania. Tych pytań nie ignorowano ani nie pomijano milczeniem, choć wiele z nich przekraczały wszelkie ramy racjonalnego myślenia i odpowiedzialnego działania. Ale nie ignorowano ich mając świadomość wielkiej traumy tych zwłaszcza, którzy utracili najbliższych, bo wtedy, choć nie tylko, łatwo zaciera się w myśleniu, odczuwaniu i działaniu wielu granic pomiędzy tym, co racjonalne, a co irracjonalne, co słuszne i prawdziwe a co fałszywe. Ale może też ujawnić się myślenie, w którym dominuje przekonanie nakazujące ucieczkę od bolesnego doświadczenia, ucieczkę do przodu, za wszelką cenę i bez względu na jej skutki.

Pan należy do tych, którzy doświadczyli tej tragedii w sposób szczególny i to w dwóch jej wymiarach: bardzo osobistym, bo dotyczącym śmierci brata, z którym łączyły Pana, znane powszechnie, szczególnie bliskie więzi rodzinne i po drugie, niemniej silnie łączył Pana z bratem związek przekraczający już osobisty czy rodzinny ich wymiar, bo wymiar ten miał już charakter publiczny o rozległych następstwach dla społeczeństwa i państwa. Pana bowiem zdanie, opinia czy zgoda decyzyjca, jako przywódcy politycznego zaplecza urzędu sprawowanego przez zmarłego brata, miały – i ta wiedza też nie jest tajemnicą – wielki wpływ na decyzje czy działania urzędu prezydenta i samego prezydenta RP.

Nie można więc zakwestionować przypuszczenia, że i decyzja o locie samolotu Tu 154 do grobów katyńskich, we wszystkich jego najważniejszych aspektach, była Panu dobrze znana, i co najmniej konsultowana. A jeśli tak, to narzucają się nieodparcie pytania: czy o tym tragicznym locie nie ma Pan nic więcej – przynajmniej jak dotąd – do powiedzenia poza wskazywaniem na winę wszystkich innych, którzy zawiniли, co więcej, którzy mają w tej sprawie „krew na rękach”; a także – czy Pana wiedza o tym locie nie powinna zachęcić do zadania sobie najprostszego, choć może dlatego najtrudniejszego pytania: czy ja nie jestem tu czemuś winien, czego w porę nie dostrzegłem, nie doradziłem, nie przewidziałem...; i wreszcie – czy nie czas, po szczerym namyśle nad tymi pytaniami, na przekroczenie zakłętego dotąd kręgu Pańskiej, uznawanej za jedyną, prawdy o tej tragedii, wykluczającej oczywiste fakty, nie mówiąc o odmiennych niż Pana opinie.

Wołał Pan i woła nieustannie: „Chcemy prawdy, bo mamy do tej prawdy prawo. Prawda jest fundamentem demokracji. Ważne, by przeciwstawić się tym, którzy chcą ukryć prawdę...”. Tak, ma Pan rację: tej prawdy, lecz rzetelnej i uczciwej do końca, chcemy wszyscy, ale nie może to być prawda tych, którzy gromadzą się z Pańskiej inspiracji, pod Pałacem Prezydenckim w celach, powiedzmy wprost, zaprzeczających prawdzie.

Aby zatem Pana wołanie o prawdę nabrało rzeczywistego sensu, konieczna jest Pana szczerza, odważna i godna odpowiedź na sformułowane tu nasze pytania. Mogą one i powinny otworzyć nową perspektywę prowadzącą do wyjaśnienia tragedii smoleńskiej, do ukazania prawdy bez względu na jej gorycz czy ból.

To lepsze niż życie w prawdzie drastycznie podzielonej, lepsze od życia we mgle, jakby tej samej, smoleńskiej, która przed rokiem tak głęboko podzieliła polskie społeczeństwo. Czas tę mgłę z Pana odważnym udziałem rozproszyć.

Zdzisław SŁOWIK
wraz z zespołem redakcji

OFE: mity i rzeczywistość

Urząd Komisji Nadzoru Finansowego pod koniec 2010 roku opublikował „Informację o działalności inwestycyjnej funduszy emerytalnych w okresie 28.09.2007-30.09.2010”. W raporcie znajdziemy stwierdzenie: „W analizowanym okresie trzech lat średnia ważona stopa zwrotu otwartych funduszy emerytalnych wyniosła nominalnie 3,36%. Uwzględniając inflację w tym okresie oznacza to, że realna stopa zwrotu uzyskana przez OFE była ujemna i wyniosła minus 7,2%.” W tym samym okresie fundusze emerytalne otrzymały 3,5 miliarda złotych z tytułu opłat od składek oraz 2, 0 miliarda za zarządzanie.

Inwestycje OFE koncentrowały się na polskich skarbowych papierach wartościowych oraz akcjach notowanych na Giełdzie Papierów Wartościowych. Średni udział papierów Skarbu Państwa w portfelach OFE wynosił 63,8%, zaś akcji notowanych na rynku krajowym 28,7%. Oznacza to, że dwie trzecie środków OFE stanowił dochód od Państwa - ZUS przekazał OFE składki, które wracały do Skarbu Państwa, jako środki OFE, po drodze gwarantując firmom zarządzającym OFE znaczny dochód w postaci prowizji. Największe straty OFE poniosły na giełdzie, mimo że inwestycje giełdowe stanowiły tylko niecałe 30% inwestycji OFE.

Prowizja OFE wynosi, niezależnie od wyników ich działalności 3,5% i rośnie, bo przybywa ludzi, którzy muszą płacić obowiązkowe składki emerytalne w wysokości 7,3% wynagrodzenia.

Propozycja rządowa zmniejszenia tej obowiązkowej daniny do 3,5% ma na celu zwiększenie dochodów budżetowych, co jest zrozumiałe, jeśli patrzymy na zły stan finansów publicznych. Co prawda te środki i tak by wróciły do budżetu, obciążone prowizją OFE, ale mniejszą niż gdyby ich poziom został utrzymany. Firmom zarządzającym OFE i całemu, licznemu gronu obsługujących je ekonomistów, nic nie przeszkadza, gdy bez żenady oświadczają, że jest to zamach na podstawowe wartości nieskrępowanej gospodarki kapitalistycznej i przyszłe emerytury. Nikt z nich nie podjął tematu, dlaczego OFE przynosi straty, dlaczego kapitał, który jest przeznaczony na przyszłe emerytury, ulega obniżeniu - mówimy o realnym kapitale, pomniejszonym o stopę inflacji, a nie tym nominalnym, który będzie rósł tym szybciej, im wyższa będzie inflacja.

Należy również wyjaśnić fikcję, którą aktywnie propaguje prof. L. Balcerowicz, przedstawiając jako niewzruszoną prawdę, iż tylko pieniądze ulokowane w OFE są prawdziwe, bo pieniądze ulokowane w OFE nie są realnymi pieniędzmi. To już bardziej realne znamiona mają środki ulokowane w ZUS - bo zobowiązania państwa są zawsze wypłacalne, państwo nie bankrutuje - może, co najwyżej, obniżyć świadczenia ze względów na sytuację budżetową, a środki ulokowane, jako prywatne inwestycje, niestety często znikają wraz z upadłością firm i emitowanych przez nie akcji.

To jest wiedza, którą posiada każdy absolwent szkoły ekonomicznej - nie ma czegoś takiego, jak realny pieniądź - istniejące papiery NBP i zapisy bankowe to tylko znaki towaru, za który możemy nabyć dobra nam potrzebne. OFE ma akcje, obligacje, potwierdzenia wpłat, - czyli zobowiązania. Ich wartość jest taka, jaka będzie w momencie ich sprzedaży na rynku i jaką ktoś, kiedyś będzie gotowy zapłacić.

W ostateczności wartość naszych emerytur zależy od sprawności i efektywności naszej gospodarki – zawsze za emerytury będą płacić ci, którzy aktualnie pracują, jeśli nawet nasze pieniądze schowamy do szafy, to największa korzyść będą miały z nich ...myszy, bo ile jest warte dziś sto złotych skrzętnie zachowane dwadzieścia lat temu? W najlepszym razie kupimy za nie 20% tego, co wówczas, a jeśli zainwestowaliśmy w akcje – to otrzymamy jeszcze mniej. Realny pieniądź istnieje tylko w momencie wymiany i określa wartość towarów, które stanowią przedmiot transakcji.

Otwarte Fundusze Emerytalne nie są więc instrumentem zwiększającym poziom inwestycji w gospodarce – stały się za to bezpiecznym schronieniem dla zarządzających funduszem, co gwarantowała im prowizja płacona od każdego nowego emeryta – i pozyskanie nowych emerytów dla funduszy było ich jedynym, ekonomicznie uzasadnionym, celem, choć interes samego emeryta nie był brany, tak naprawdę, pod uwagę. Stanowili oni tylko źródło dochodów w postaci płaconych składek.

Te negatywne strony działalności OFE wskazał prezes NBP prof. Marek Belka w swoim wywiadzie z 18 lutego 2011 roku opublikowanym równocześnie przez „Gazetę Wyborczą” i „Rzeczpospolitą”.

Utrzymanie istniejącego stanu stawia pod znakiem zapytania sens istnienia OFE. Jeżeli środki dla Funduszy wędrują z budżetu (czyli ZUS-u) poprzez OFE, by wrócić z powrotem do budżetu, pomniejszone tylko o sowitą prowizję, to znacznie byłoby lepiej, gdy składki przyszłych emerytów pozostały w ZUS, gdzie jak wykazała dotychczasowa praktyka, są znacznie lepiej wykorzystywane. OFE poniosły straty głównie na giełdzie, gdzie z drugiej strony stanowią podstawę funkcjonowania, GPW, ale to, że spełniają rolę koła ratunkowego dla giełdy nie uzasadnia ich istnienia.

Problemem podstawowym pozostaje jednak kwestia reformy finansów publicznych. Dochody budżetowe spadają nie ze względu na zbyt duże obciążenie budżetu emeryturami – Polska jest w Europie krajem, w którym emerytury są płacone średnio dwa lata po ich przyznaniu. To najniższy wskaźnik dla całej Unii Europejskiej – w Szwecji wynosi on dwadzieścia kilka lat, w Niemczech około dwudziestu. Stąd też wypływa tendencja, aby przedłużyć wiek odchodzenia ludzi na emeryturę – żyją dłużej, lepsza opieka zdrowotna gwarantuje, że także w dobrym zdrowiu. A wykształconych pracowników brakuje – Niemcy oferują polskiej młodzieży płatną naukę zawodu w swoim kraju – każdy nowo przyjęty ma otrzymać 1 500 Euro plus utrzymanie.

Spadek dochodów budżetowych jest przede wszystkim rezultatem prowadzonej polityki gospodarczej. Reklamowanie Polski, jako kraju o najniższych płacach w Europie oznaczało, że zainwestowały u nas firmy zagraniczne, dla których najistotniejsza była tania, nisko kwalifikowana praca. Dziś poszły sobie dalej – do Chin, Indii, Wietnamu, na Ukrainę. Pozbyliśmy się przy okazji przemysłu – kiedyś stocznie stanowiły wizytówkę Polski, konkurowaliśmy z całym światem, oferując nowoczesny i dobry jakościowo produkt. Pracowały setki tysięcy ludzi, dostarczając dochodów budżetowi – dziś są na przedwczesnych emeryturach, lub wyemigrowali do pracy w stocznich Niemiec, krajów skandynawskich, Francji. To samo dotyczy innych branż przemysłowych: maszyn przetwórstwa spożywczego, energetyki, przemysłu zbrojeniowego i innych. Z Polski ubyło ponad dwa miliony najbardziej energicznych i wykształconych osób. Wspierają oni dziś gospodarki krajów Zachodniej Europy. Niewiele jest przekazywanych do kraju na utrzymanie rodzin lub inwestycje, najczęściej w domy, które stoją puste. Za kilka lat i to źródło dochodów uschnie – emigranci wrosną w swoje nowe środowisko, ich dzieci pójdą do szkół, a o Polsce najwyżżej wspomną przy jakiejś okazji.

Problem OFE stanowi w tej sytuacji tylko dzwonek alarmowy znacznie większego problemu. Polski już dziś nie stać na utrzymywanie rzeszy niepotrzebnych funduszy, agencji i finansowania działań zbędnych gospodarczo. Sprywatyzowano ponad 80% majątku – nie ma już co sprzedać; zostały lasy i kilka elektrowni. Koniec, nie będzie już środków na podpieranie padającego budżetu.

W tej perspektywie podjęte inicjatywy obecnego rządu wobec OFE wolno uznać za uzasadnione i słuszne.

Daniel S. ZBYTEK



Koniec Komisji Majątkowej

Tę komisję powołała do życia troska o prawdę, sprawiedliwość i potrzeba zadośćuczynienia. Przez dwadzieścia lat jej działania, a mówimy tu o państwowo-kościelnej Komisji Majątkowej, wspólnym wysiłkiem przedstawicieli władz państwowych i kościelnych, doprowadzono do przyznania Kościołowi polskiemu rekompensat za mienie utracone w PRL, które, według niepełnych jeszcze danych, objęły 60 tys. hektarów ziemi, 490 nieruchomości (w tym 19 szpitali, osiem domów dziecka, 26 szkół, dziesięć przedszkoli, trzy muzea, dwa teatry, dwie biblioteki, budynki archiwum, prokuratury, sądu, operetki, dworzec PKS, a nawet browar) o łącznej wartości ponad 24 mld złotych) oraz rekompensaty i odszkodowania pieniężne w wysokości 107,5 mln złotych.

Ten niemały majątek przekazywano Kościołowi w trybie decyzji podejmowanych poza wszelką w istocie kontrolą społeczną, a często wbrew woli i interesom dotychczasowych użytkowników tego majątku, w przekonaniu, że oto dokonuje się akt sprawiedliwości zgoła dziejowej, który nie wymaga troski o to, czy podejmowane dziś decyzje nie wywołują realnie nowej niesprawiedliwości. Autorytet Kościoła wydawał się być rękojmą wykluczającą taką sytuację.

Ale nikt nie przypuszczał, że autorytet ten może stać się parawanem, za którym wiele różnych osób może podjąć działania sprzeczne z prawem. Tak się, niestety, stało. A praktyką naruszającą prawo było zaniżanie wycen przejmowanego majątku, często sprzedawanego od razu osobom trzecim za ceny kilkakrotnie go przewyższające lub też przekazywanie mienia, które nie powinno być w ogóle przedmiotem rekompensaty.

Ujawnione przez media, często rażące swą absurdalnością decyzje Komisji Majątkowej, oraz działania stosowych organów prawa, doprowadziły do powstrzymania praktyki nadużyć, do protestów wielu samorządów wobec zabranego im mienia samorządowego, wreszcie do powstania społecznego klimatu dezaprobaty wobec działalności Komisji Majątkowej w ogóle.

W tych warunkach Sejm RP w trybie pilnym, bez rozgłosu, bez błysków fleszy i kamer TV, zdecydował jakby wstydliwie o zakończeniu 31 stycznia 2011 r. działalności Komisji Majątkowej. Pozostałe jeszcze do rozpatrzenia wnioski (np. o zwrot nieruchomości, na których stoją budynki Uniwersytetu Warszawskiego, odebrane Kościołowi przez... władze carskie <sic!>) mają rozpatrywać odpowiednie sądy.

Decyzja Sejmu o zakończeniu prac Komisji Majątkowej przerywa praktyki godzące w porządek prawny państwa, daje satysfakcję tym, którzy sprzeciwili się nadużyciom za parawanem różnych autorytetów i stwarza nadzieję wielu samorządom na odzyskanie zabranego im mienia, pod warunkiem, że Trybunał Konstytucyjny uzna działalność Komisji Majątkowej za niezgodną z konstytucją, czego od Trybunału warto oczekiwać.

Ale zakończenie działalności Komisji Majątkowej zachęca do dwóch refleksji natury ogólniejszej. Pierwsza dotyczy stanowiska kierownictwa polskiego Kościoła wobec rekompensat: nie wydaje się ono klarowne, bo wyrażona aprobatą dla decyzji o zakończeniu działalności Komisji Majątkowej nie została połączona z gotowością aktywnego wyjaśnienia wszystkich spraw, które budzą wątpliwości opinii publicznej i organów prawa, tym bardziej, że podejrzenia czy zarzuty dotyczą też wielu duchownych uczestniczących na różnych szczeblach w procedurach rekompensacyjnych. A chodzi tutaj o sprawę, która ma, poza wieloma innymi, wielki wymiar i sens moralny: przejęty majątek otrzymał Kościół od nie najbogatszego państwa i społeczeństwa, które ma prawo domagać się absolutnej przejrzystości procedur i podejmowanych decyzji, ich bezwzględnej uczciwości. I druga refleksja – to przekonanie o potrzebie takiego układania stosunków pomiędzy państwem a Kościołem, w których nie będzie miejsca na obszary wyjęte spod społecznej kontroli, na strefy, które podważają zasadę autonomii świeckiego państwa i niezależność Kościoła, który respektuje zarazem prawa obowiązujące w państwie traktowanym jako dobro wspólne.

Nieprawidłowości ujawnione w działalności Komisji Majątkowej nie mogą nie pozostać gorzką lekcją dla wszystkich uczestników takich i podobnych przedsięwzięć w przyszłości.

Wacława MIELEWCZYK

Przypadek Silvio Berlusconi

„Wykonywanie władzy politycznej, czy to we wspólnocie jako takiej, czy to w instytucjach reprezentujących państwo winno się zawsze odbywać w granicach porządku moralnego dla dobra wspólnego. Wówczas obywatele zobowiązani są w sumieniu do posłuszeństwa władzy” – taki akapit znajdujemy w Konstytucji duszpasterskiej *Gaudium et spes* najważniejszego dokumentu Vaticanum II. Jest to wskaźnik dla postępowania polityków, zwłaszcza chrześcijańskich czy kierujących się nauką Kościoła katolickiego. Także etyczno-moralny wymiar encyklik i innych dokumentów Jana Pawła II nie pozostawia w tej mierze żadnych złudzeń.

Zdumienie i niesmak jaki wywołują w całej Europie skandale na tle obyczajowym, jakie są udziałem premiera Włoch Silvio Berlusconi (polityka prawicy, chadeckiej proveniencji, mocno prokościelnego) stoją w jaskrawej sprzeczności z deklarowanymi przez niego wartościami, nauką katolicką (S. Berlusconi jest gorliwym i praktykującym wiernym katolickim), a także z religijnością i obrzędowością katolicką. Faktem jest, że manifestacyjność wiary religijnej tamtejszego „ludu bożego”, tabuny świętych i ich kult w różnych częściach Włoch, liczne kościoły i przybytki kojarzone z katolicyzmem, wreszcie – siedziba papieża rzymskiego na włoskiej ziemi, sąsiadujące z – kulturowo i cywilizacyjnie uwarunkowaną – czcią i uznaniem społecznym dla postawy *macho* od wieków są immanentną częścią włoskiej obyczajowości, moralności i tradycji.

Właśnie ten aspekt włoskiej obyczajowości, kulturowego dziedzictwa i świadomości oddaje doskonale arcydzieło sztuki filmowej Francisca F. Coppoli pt. „Ojciec chrzestny”. Epopeja mafijnego rodu Corleone pokazuje jak obok (jakby w tle) ostentacyjnej pobożności, stałej obecności duchowieństwa w życiu rodzinnym, krzepiących obrazków dzieci w białych strojach, przestrzegania i kultywowania tradycyjnych wartości rodzinnych, morduje się bezwzględnie przeciwników i mafijnych rywali, wymusza się haracze, korumpuje polityków oraz przedsiębiorców i Kościół.

Nie jest to zgodne z powszechnie przyjętym w Europie, zwłaszcza tej północnej i zachodniej (objętej swego czasu Reformacją), pojęciem moralności, etyki i zasad postępowania nie tylko polityka, ale każdej osoby publicznej.

Trzeba też dodać, że ostatnio ujawniane ekscesy S. Berlusconi nie są dobrą promocją demokracji, wolności czy związków moralności z życiem publicznym. Zwłaszcza w kontekście deklarowanych i wyznawanych wartości oraz podpierania się autorytetem Kościoła katolickiego (jest to potwierdzenie po raz kolejny niebezpiecznych związków polityki i religii, w każdym wymiarze i w każdej sytuacji).

James Madison, zaliczany do tzw. ojców założycieli Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej, przestrzegał zdecydowanie przed takimi związkami. Pisał: sekta religijna może łatwo (poprzez takie związki) przerodzić się w polityczną frakcję, zaś frakcja polityczna zbyt ściśle kojarzona z religią szkodzi moralności oraz sypcha religię w stronę sekciarstwa.

Niesłychane zdziwienie musi więc budzić komentarz znanego katolickiego publicysty i autora licznych wywiadów z polskim papieżem, Vittorio Messoriego na ten temat. „*Lepszy jest polityk-dziwkarz, który stanowi dobre prawo, niżli szlachetny katolik promujący ustawy sprzeczne z nauczaniem Kościoła*” – stwierdził był ów występujący do tej pory z pozycji moralisty i strażnika wartości żurnalista i działacz katolicki. Swoje utrzymujące się poparcie dla rządu i postawy S. Berlusconi tłumaczy tym, że rząd najbogatszego obywatela Italii blokuje ustawy o związkach partnerskich, przeciwdziała szerzeniu się propagandy gejowsko-lesbijskiej, strzeże rygorystycznie przepisów o *in vitro*, nie pozwala ruszyć kościelnych przywilejów podatkowych itd.

„*Jest rzeczą konieczną, by każdy katolik świecki miał zawsze żywą świadomość tego, że jest członkiem Kościoła czyli osobą, której dla dobra wszystkich powierzone zostało oryginalne, niezastąpione, ściśle zadanie*” pisał Jan Paweł II w Posynodalnej Adhortacji Apostolskiej «*Christifideles laici*». Praktyka realizacji tych zasad w życiu codziennym – jak to zakłada nauka papieża z Polski – po raz kolejny zawiodła.

Papież Aleksander VII (1655–1667) miał powiedzieć, broniąc istoty istnienia trybunałów inkwizycyjnych: „*Zły katolik jest zawsze lepszy od dobrego heretyka*.” Przytoczone uzasadnienie V. Messoriego oddaje nie zmieniające się *clou* tego papieskiego sądu sprzed ponad 350 laty. Jak widać jest on (sens przytoczonej wypowiedzi papieża Aleksandra) ciągle żywy, oddając mentalność i sposób widzenia dzisiejszego świata przez katolicki „lud boży”.

Radosław S. CZARNECKI

CZŁOWIEK i WOLA ŻYCIA

Jerzy ŁADYKA

Człowiek jest pasterzem bycia

Problematyka człowieka i jego istoty obecna była w myśli europejskiej od chwili wyodrębnienia się racjonalnej refleksji filozoficznej z religijnego mitu. Pełną wyrazistość osiągnęła w XIX i XX wieku po szczytowych osiągnięciach koncepcji Immanuela Kanta i Georga Hegla. Przejawiło się to w twórczości Sorena A. Kierkegaarda, Fridricha W. Nietzschego, Henri Bergsona, Edmunda Husserla, K. Jaspersa, M. Heideggera. Ich twórczość stanowiła swoisty bunt przeciwko fundamentalnemu założeniu dotychczasowej filozofii aprobującej ideę przedustawnej harmonii między człowiekiem i światem – światem jako czymś zastanym i człowiekiem, którego bycie podlega prawom przyrody. Nie dawało się wszelako ukryć, że w tej harmonii zgrzytało. Zwłaszcza od czasu gdy E. Kant dowiódł, że człowiek dysponuje wolną wolą i ma możliwość decydowania o własnych czynach. Okazało się bowiem, iż człowiek wolny sam w sobie jest nieodwołalnie wydany na łaskę obcego świata przyrody.

Filozofowie nurtu egzystencjalnego nie godzili się z poglądem, że miarą sensu bycia człowiekiem jest poczucie pełnej przynależności do świata przyrody, osłodzone co najwyżej nadzieją ogarnięcia rozumem rzeczywistości. Nie godzili się na ograniczanie poznawczej aktywności człowieka jedynie do interpretacji tego co się dzieje na scenie życia. Proponowali wizję człowieka obdarzonego zdolnością twórczą w aktywności ontologicznej.

Przejawy i dynamika myśli egzystencjalnej ujawniły się nie tylko w dziedzinie filo-

zofii. Przeniknęły z niejaką gwałtownością do szerokiej sfery kultury. Zakotwiczyły się w dziedzinie moralności. W wielu utworach literackich, w prozie, poezji, teatrze i filmie refleksja światopoglądowa i etyczna dominuje nad tematyką intrygi i banału. Myśl o prawdzie, o sensie życia człowieka obecna jest dzisiaj w obszarze refleksji współczesnych ludzi.

„Studenci mnie czasem pytają – mówi profesor Zbigniew Mikołajko – jaki jest sens i cel filozofii. Mnie się zdaje, że to konsolacja, ulga w niesieniu kajdan, które każdy z nas dźwiga, czy tego chcemy, czy nie. Bo żyjąc, siedzimy w uwięzieniu i czekamy na wyrok...Heraklit, to chyba jedyny oprócz Sokratesa Grek, który do mnie trafił. Twierdził, że pod chaosem, pod morzem płynnych zjawisk, które zdają się nie gwarantować niczego, jest jeszcze coś, jakiś ukryty porządek. Z tym, że ja to coś rozumiem inaczej niż Heraklit. On sądził, że to logos, jakiś boski rozum. Dla mnie to nicość. Wszystko jest nicością. Wszystko się skończy, nawet wszechświat wystygnie, przestanie być. Nie potrafię się oderwać od myślenia o śmierci. I nie jestem odosobniony. W śmierci jest zanurzona cała europejska kultura zafascynowana wisielcami, topielcami, zgrozą śmierci” („Gazeta Wyborcza” 27.12.2010).

W niniejszych uwagach, będących tylko „rzutem oka”, odnoszę się do niektórych myśli M. Heideggera charakterystycznych dla nurtu filozofii egzystencjalnej. **Heidegger chciał wnieść do filozofii współczesnej nowy język**

i nową treść. Na miejsce dociekań skoncentrowanych na problemie istoty „człowieka w ogóle” pragnął skupić uwagę na konkretnym ludzkiego istnienia. Na egzystencji człowieka samotnego w sensie ostatecznym, nieporównywalnym z czymkolwiek innym. Odrzucając koncepcję przedustawnej harmonii między myślą i bytem odnalazł (w swym przekonaniu) taki byt, w którym istnienie i istota są tożsame. Jest nim człowiek – jednostka; człowiek określony mianem *Dasein* – czyli ludzki sposób bycia. **Człowiek nie tylko jest, lecz ma możliwość określać konkret swego jeststwa, ma możliwość wyboru sposobu swego bycia, ma też zdolność namysłu nad sensem swojego bycia – a ta zdolność wyróżnia człowieka od innych bytów. Osoba ludzka jest w sobie zakorzeniona, jest tym bytem, któremu o własne bycie chodzi. Przez myślenie o własnym byciu można dowiedzieć się czym jest Byt jako pierwsza zasada rzeczywistości, czym jest Bycie świata.**

Pojęcie „bycia” jest kategorią węzłową w koncepcji Heideggera. Przypomina on, że w starożytności skupiali na nim uwagę Parmenides i Platon. Określali je mianem „stałej obecności”. Sens tej kategorii mieści w sobie określony stosunek filozofa do religii i do metafizyki. I pozostaje w bezpośrednim związku z pojęciem Nicości, które jak sądzę, Heidegger chce oswoić. „Lecz bycie – czymże jest bycie? Ono – to ono samo. Myślenie musi się w przyszłości nauczyć tego doświadczać i to wypowiadać. «Bycie» – to nie jest ani Bóg, ani zasada świata. Bycie jest dalej, a zarazem bliżej człowieka niż wszelki byt, czy będzie nim skała, zwierzę, dzieło sztuki, maszyna, anioł czy Bóg. Bycie jest tym najbliższym. Lecz bliskość owa pozostaje dla człowieka czymś co najdalsze. Człowiek zawsze i przede wszystkim trzyma się bytu. Myślenie przedstawiając byt, wiąże się wprawdzie z byciem, ale naprawdę myśli ono jedynie byt jako taki, a nie bycie jako takie «Problem bycia» jest wciąż pytaniem o byt”.

Myśl Heideggera dotycząca relacji człowieka i świata jest w pewnej mierze bezproblemowa. Świat jest człowiekowi dany w koniecznym sprzężeniu z nim samym. Pojawia się on w świecie bez swego udziału, swój status człowieczeństwa otrzymuje spontanicznie. Swoje bycie jak i bycie świata nie jest od niego zależne, ale pojawiając się w świecie znajduje

się już we wspólnocie z tym wszystkim co istnieje i co może poznawać i rozumieć świat.

Bytując w świecie jest zaprzątnięty jego przedmiotowością, chodzi mu przede wszystkim o przetrwanie. Obojętny świat nie skąpi mu przeszkód. Stąd życie człowieka przeniknięte jest troską. Troska jest ontologiczną jakością ludzkiego bytowania, mówi Heidegger. Jednostka usiłuje zadomowić się w świecie, ale to się na ogół nie udaje. Bolesne jest uczucie wyobcowania. Wchodzi więc spontanicznie w obszar zachowań i myśli, które są „obowiązujące” w życiu zbiorowym. Zachowuje się tak jak SIĘ zwykle zachowywać w środowisku, bo sprzyja to poczuciu bezpieczeństwa. Anonimowe normy poprawności rozmywiają w człowieku poczucie swej niepowtarzalności i autentyczności bycia samym sobą. Człowiek w dążeniu do roztopienia swej osobowości w abstrakcyjnym byciu SIĘ ucieka faktycznie od swej autentyczności. Dzieje się tak dlatego, że autentyczne przeżycie bycia sobą łączy się z faktem śmierci.

Śmierć w ujęciu Heideggera widziana jest w dwojakim oglądzie. *Dasein*, czyli osoba ludzka jest zakorzeniona w sobie, w obrębie tego czym jest mieści się zarówno jej życie jak i śmierć. Śmierć jest „moja” tak jak każdy dzień i wszystkie moje przeżycia, jak „mój” świat, niepowtarzalny, jedyny. Człowiek jest bytem – ku śmierci, powiada Heidegger sugerując jakąś jednię życia i śmierci. Zwłaszcza, że jedynie w chwili śmierci człowiek ma pewność bycia sobą.

Ale zważyć trzeba, że najważniejszą stroną bytu ludzkiego jest **bycie w świecie**, w którym trzeba trwać i troszczyć się o swoje trwanie. Tymczasem świat natury trwanie to człowiekowi przerywa. Śmierć zabiera człowieka z tego świata. Fakt ten odczuwany jest nieodmiennie jako okrutny wyrok niezasłużony. Jako skazanie na bezdomność i trwogę.

Groza śmierci wieje z utraty wszystkiego co dostępne w realnie istniejącym świecie i co wiąże się bezpośrednio z przeżywanym losem. Nie jest trwoga strachem przed określonym zagrożeniem lecz wizją przerażającego zetknięcia się z problemem Bytu i Nicości. Śmierć jest zniknięciem Bytu, jest otwarciem otchłani Nicości, stanem absolutnego opuszczenia i bezradności, niemożliwości wyobrażenia sobie własnej nieobecności w świecie. **Dla Heideggera oczywistością jest, że zrozumienie**

sensu trwogi i jej znaczenia równoznaczne jest z obroną ludzkiej dzielności – dzielności poznawczej.

„W otchłani przerażenia dzielność rozpoznaje nieuczęszczaną niemal przestrzeń bycia, przez której prześwit dopiero wszelki byt powraca w to, czym jest i czym być potrafi”.

W trwodze ujawnia się prawda Nicości, będącej prześwitem, czyli byciem w którym objawia się byt. „W jasnej nocy nicości trwogi powstaje dopiero pierwotna otwartość bytu jako takiego., to mianowicie, że jest on bytem, a nie nicością. ...Czyste Bycie i czyste Nic są więc jednym i tym samym...dlatego, że samo bycie jest w swej istocie skończone i ujawnia się tylko w transcendencji dokonywanej przez byt przytomny (tj. człowieka), który przekracza byt ku nicości...Zatrzymując się wewnątrz nicości przytomność wykracza tym samym każdorazowo poza byt w całości. To wykroczenie poza byt nazywamy transcendencją. Gdyby byt przytomny z samej swej istoty nie dokonywał transcendencji, tzn. gdyby nie zatrzymywał się uprzednio wewnątrz nicości, nigdy nie mógłby być odniesiony do bytu, a zatem również do samego siebie...Bez pierwotnego ujawnienia się nicości nie byłoby ani jaźni, ani wolności”.

Heidegger przeciwstawił się (profesjonalnemu i potocznemu) stereotypowi, że Byt ma wszędzie pierwszeństwo i rości sobie prawo do uznania, że jest, zaś to, co jest czymś innym niż byt, co jest traktowane jako Nic, jest zapomniane. Osiągnął w tym przypadku cel. **Określając Nicość jako Bycie, uzasadniając tezę, że jest Nicość pierwotna wobec Bytu, czyli odwracając utarte twierdzenie: Nicość to nie - Byt, na inne, że Byt jest nie – Nicością – podtrzymał zasadność wciąż aktualnego fundamentalnego pytania, które sformułował Leibnitz: „Dlaczego w ogólności jest Byt raczej aniżeli Nicość”.**

Heidegger nie ukrywał, że nie zna odpowiedzi na to pytanie. Uważał, że trzeba się nad nim zastanawiać, że dwa pojęcia Byt i Nicość

mają ten sam ciężar na wadze prawdy o świecie i ludzkim losie. **A człowiek ma możliwość wpływania na kształt prawdy.**

Siłą przyciągania i oddziaływania myśli Heideggera jest zwrócenie się ku sprawom poruszającym ludzkie umysły i uczucia. Zatrzymanie się na sprawach życia i śmierci, codzienności trudu i troski, trwogi i poczucia porażki. Niepokojące i trudne to są sprawy. Ale sięgnięcie do nich, wydobyć z niszy półzapomnienia jest pożyteczne. Otwiera obiecującą perspektywę myśli racjonalnej i niecofającej się przed doświadczeniem metafizycznym.

„Człowiek jest przez samo bycie «zrzucony» w prawdę bycia; tak ek-sistując chroni on prawdę bycia, aby w świetle bycia byt mógł pojawić się jako byt, którym jest. Czy pojawia się on i jak się pojawia, czy i jak Bóg i bogowie, dzieje i natura wyłaniają się w prześwicie bycia, wychodzą na jaw i kryją w mroku – człowiek o tym nie decyduje.

Nadejście bytu udzielone jest przez bycie. Człowiekowi jednak pozostaje jedno pytanie czy we wnętrzu własnej istoty odnajduje odpowiednik tego udziału; stosownie bowiem do niego ma on jako ek-sistujący chronić prawdę bycia. Człowiek to pasterz bycia”.

P.S. Wspomnienie. Wiele lat temu – kilku świeżo upieczonych maturzystów – staliśmy w majowy wieczór na skrzyżowaniu ulic Kościelnej i 3 Maja w Ostrowcu Świętokrzyskim. Mówiliśmy: jesteśmy dojrzałi, otworzyła się furka na szeroki świat, jesteśmy wolni...Patrzyliśmy na niebo gwiazdziste, na pełnię księżyca... I wtedy Andrzej Suchodolski, utalentowany pianista i późniejszy architekt rzucił ostrym szeptem: jesteśmy, jesteśmy, a ja nie wiem kim jestem..., jako człowiek...nie wiem co znaczy, że jestem...

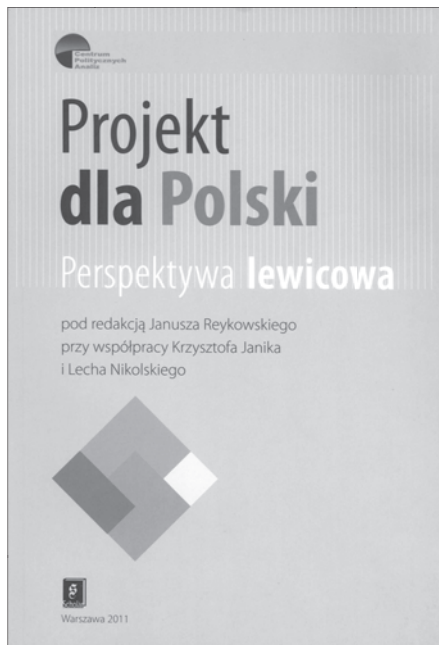
Literatura:

1. M. Heidegger, *Budować, mieszkać, myśleć*.
2. K. Michalski, *Wstęp*.
3. L. Kołakowski, *O co nas pytają wielcy filozofowie*.
4. Z. Mikołajko, *Gazeta Wyborcza*.

Autor jest profesorem filozofii, em. nauczycielem akademickim, członkiem zespołu naszej redakcji.



CZAS DLA LEWICY



To spotkanie czołowych działaczy i intelektualistów polskiej lewicy, które z udziałem Aleksandra KWAŚNIEWSKIEGO i Grzegorza NAPIERAŁSKIEGO, odbyło się 22 marca 2011 r. w Warszawie, było oczekiwane od pewnego czasu z narastającą uwagą. Uwagę tę determinowała i determinuje dynamika procesów społeczno-politycznych w kraju, ujawnianie się nowych elementów w kształcie dotychczasowej sceny politycznej, a przede wszystkim wyraźnie rosnące w sondażach społecznych poparcie dla głównej siły polskiej lewicy - dla Sojuszu Lewicy Demokratycznej.

Wszystkie te i wiele innych procesów i zjawisk zbiegły się równocześnie z opublikowanym właśnie w formie książkowej raportem zatytułowanym PROJEKT DLA POLSKI. PERSPEKTYWA LEWICOWA, pracą będącą owocem trwających blisko dwa lata dyskusji i studiów grupy wybitnych intelektualistów, którzy pod kierunkiem prof. Janusza REYKOWSKIEGO przygotowali dokument dla polskiej lewicy na jej obecny i nadchodzący czas pracy dla Polski.

Poniżej drukujemy udostępniony naszej redakcji tekst prof. Janusza REYKOWSKIEGO, który główny twórca tego dokumentu, przedstawił w swoim słowie wprowadzającym do dyskusji na wspomnianym spotkaniu.

Do problematyki podjętej w PROJEKCIE DLA POLSKI, zwłaszcza jej warstwy aksjologicznej i społecznej, powrócimy w kolejnych numerach naszego czasopisma.

REDAKCJA

Janusz REYKOWSKI O LEWICOWEJ PERSPEKTYWIE

Tom, który tu Państwu przedstawiamy nosi tytuł „Projekt dla Polski - perspektywa lewicowa”. Trzeba jednak od razu powiedzieć o jakiej perspektywie lewicowej jest tu mowa, bo może tu chodzić o różne rzeczy.

Tak więc mówiąc o perspektywie lewicowej można skupiać się na sytuacji lewicowej partii politycznej i na jej szansach w walce o władzę. Chodzi wtedy o takie kwestie jak ocena miejsce lewicy na scenie politycznej, optymalna strategia walki politycznej, ocena szans sukcesu, ocena potencjalnych zagrożeń itp. Chodzi też o trudne dylematy: jak pogodzić cele wynikające z deklarowanej ideologii z realiami politycznej sytuacji? Co jest dopuszczalnym kompromisem? Czy jest ważniejsze: trzymanie się ideologicznych pryncypów, czy też realizacja jakichś praktycznych, choćby skromnych, celów?

Mówiąc o lewicowej perspektywie możemy także zająć się organizacjami czy ruchami społecznymi, które występują w obronie słabszych grup walcząc przeciw różnymi formom

upośledzenia i dyskryminacji. Chodzi tu o związki zawodowe, ruch wyzwolenia kobiet, ruchy w obronie praw mniejszości itp. A także o ruchy, które starają się przeciwstawić szkodliwym konsekwencjom niekontrolowanego działania sił rynkowych i wielkich interesów – ruchy proekologiczne, antimilitarystyczne, antyglobalistyczne. Każdy z takich ruchów zajmuje się jakąś jedną określoną sprawą bliską wartościom lewicy ale raczej nie zwraca uwagi na inne i nie myśli o jakiejś wspólnej lewicowej tożsamości.

Perspektywa lewicowa, którą zajmujemy się w naszym raporcie dotyczy jeszcze czego innego – chodzi nam o pewien stosunek do świata, o pewną orientację światopoglądową i ideologiczną, a więc o kształt społeczeństwa tak w sferze społeczno-ekonomicznej, jak w sferze politycznej. Jest to pewna postawa ideologiczna i moralna, ponieważ dotyczy takich wartości jak sprawiedliwość społeczna, wolność jednostki, prawa obywatelskie, stosunek do władzy itp. Ale także o sposób rządzenia i zasady prowadzenia polityki.

Trzy wyodrębnione tu perspektywy – partyjno-polityczna, społeczna i światopoglądowa historycznie były ze sobą ściśle związane. Dawna lewica była zarazem dobrze zorganizowaną, silną formacją polityczną, posiadającą mocne oparcie w ruchach społecznych (przede wszystkim związkach zawodowych) i wyraźnie wykrystalizowany profil światopoglądowy. Obecnie, te trzy perspektywy jakoś się „rozeszły”. Lewicowe partie polityczne nie mają już tak silnego związku z ruchami społecznymi (choć SLD próbuje je teraz rozwijać). Co więcej, nie mają też wyraźnie wykrystalizowanego ideowego drogowskazu i jasnych wyobrażeń o pożądanych formach ładu społecznego. Stały się bardziej maszynami wyborczymi, niż nosicielami nadziei na lepszą przyszłość. Jest to chyba jedna z głównych słabości współczesnej lewicy – nie tylko polskiej.

Narzeka się dziś na słabość lewicy mając na uwadze jej niepowodzenia wyborcze. Ale najważniejszym przejawem słabości lewicy jest nie to, że przegrywa wybory i traci władzę, i nie to, że skurczyło się jej społeczne poparcie. Wszak w sprzyjających okolicznościach część poparcia można odzyskać (wygląda na to, że to właśnie dzieje się w Polsce), można też odzyskać dostęp do władzy. **Sądzę natomiast, że głównym wyrazem jej słabości jest brak odpowiedzi na ważne pytania współczesności – brak propozycji jak lepiej urządzić świat.** Można mieć wiele szczegółowych pomysłów poprawiania rzeczywistości, ale nie powstaje w ten sposób poważna alternatywa dla dominującej obecnie wersji ekspansywnego, pravicowego kapitalizmu.

Spotyka się pogląd, że takiej alternatywy nie da się sformułować ponieważ lewica, jako ideologia straciła rację bytu. Taki pogląd wyraził m.in. profesor Marcin Król pisząc w jednym ze swych dawniejszych artykułów „Lewica po prostu nie istnieje, bo jej postulaty... weszły w skład zadań dobrego państwa”. **Zamiast więc zastanawiać się nad tym, co to jest lewicowa perspektywa ideologiczna i czym się różni od prawicowej należałoby raczej skupić się na takich kwestiach jak modernizacja kraju i opory przed nią, rządzenie skuteczne vs. nieudolne, demokracja vs. autorytaryzm itp.**

O tezie, że lewica, a ściślej – lewicowy projekt społeczny, już nie istnieje, można powiedzieć to samo, co kiedyś powiedział Mark Twain przeczytawszy w gazetach swój nekrolog. Miał wtedy oświadczyć publicznie, że „wiadomość o mojej śmierci jest raczej przedwczesna”. Myślę, że grubo przedwczesne jest stwierdzenie o śmierci lewicowej ideologii.

Jest prawdą, że we współczesnych krajach demokratycznych, szczególnie w Europie Zachodniej, przeciwieństwa między lewicą i prawicą straciły na ostrości, bo tak jedna jak i druga strona zbliżyły się ku środkowi. Jest to rezultat działania mechanizmów demokratycznych. Ideologiczne zasady lewicy i prawicy poddawane są „testowi rzeczywistości”, kiedy partie reprezentujące te ideologie dochodzą do władzy. Okazuje się wtedy, że to, co w płaszczyźnie ideologicznej rysowało się prosto i jasno w płaszczyźnie praktyczno-politycznej jest dużo bardziej skomplikowane. I jedno i drugie stykając się z realiami władzy muszą godzić się z wieloma odstępstwami od ideologicznej doktryny.

Partie prawicowe narażone są na niebezpieczne konsekwencje bezwzględnej realizacji zasad wolnego rynku. Realizacja tych zasad wytwarza ogromne rzesze przegranych czy upośledzonych, którzy z tym upośledzeniem nie chcą się godzić. W państwie demokratycznym ignorowanie tych grup groziłoby trwałą klęską wyborczą. A przy złym obrocie spraw otworzyłoby drogę do władzy partiom populistycznym. Dlatego prawicowe rządy odstępują od konsekwentnie prawicowej polityki. Godzą się na tworzenie instytucji, które ograniczają koncentrację ka-

pitału, chronią biedniejsze warstwy społeczeństwa, zapewniają ochronę praw warstw pracujących. Tworzą różne „amortyzatory” chroniące państwo przed niebezpieczeństwem klasowych zderzeń. Wielu ideologów prawicy nie chce się z tym pogodzić. Głośno żądają konsekwentnego stosowania reguł wolnego rynku. Twierdzą, że stosowanie owych reguł przyczyni się do powiększenia pomyślności ogólnej.

W Polsce zjawiska tego rodzaju wystąpiły wyraźnie w trakcie rządów Platformy Obywatelskiej. Choć premier Tusk i jego partia reprezentowali początkowo bardzo radykalne stanowisko pravicowo wolnorynkowe, to z biegiem czasu czuli się przymuszeni do różnych od niego odstępstw. Budzi to zgrozę wśród ważnych postaci jego obozu politycznego i spotyka się z ich strony z gwałtowną krytyką. Sytuację tę dobrze wyraża niedawna wypowiedź prasowa premiera Donalda Tuska. Powiedział on: *„Dziś wiem już, że sama wolna konkurencja nie zapewni ładu społecznego i sprawiedliwości.....wiem, że człowiek jest ważniejszy niż jakakolwiek idea czy doktryna. Nawet ukochana w młodości idea liberalizmu”*.

Również i partie lewicowe, kiedy dochodzą do władzy natrafiają na trudne do rozwiązania dylematy. **Jeden taki dylemat wiąże się z konfliktem między aktualnymi potrzebami społecznymi a gospodarczym rozwojem.** Znaczna część elektoratu partii lewicowych domaga się zwiększenia ilości środków na potrzeby społeczne. Ale rządzący znajdują się też pod presją tych kół, które ostrzegają, że uleganie tym żądaniom niszczy podstawy rozwoju gospodarczego. Wpływowe i potężne, ze względu na swą ekonomiczną pozycję, środowiska walczą o obniżanie podatków i zmniejszanie kontroli państwa (deregulację). Rządzący w imieniu lewicy wchodzą (czy muszą wchodzić) w różne relacje z przedstawicielami tzw. górnych warstw społeczeństwa - biznesem, bankami, wysoką hierarchią kościelną, elitami świata kultury masowej - warstwy te wywierają znaczący wpływ na kształt polityki.

Opisane tu procesy sprawiają, że zarówno lewicowe, jak pravicowe partie, wtedy, gdy zdobywają władzę zaczynają ciążyć ku środkowi. Powstaje dzięki temu ów efekt, o którym prof. Król pisał: *„Ze wszystkimi sprawami, które miałyby rozwiązać lewica musi dzisiaj zmierzyć się każde przyzwoite społeczeństwo”*. Fakt, że realia demokratycznej polityki popychają partie rządzące ku środkowi oraz okoliczność, że dawne postulaty lewicy zostały w znacznej części zrealizowane w nowoczesnych tzw. „państwach dobrobytu” wcale nie znaczy, że opozycja lewica-prawica znikła czy też zupełnie straciła na znaczeniu. We współczesnym świecie, tak jak we wszystkich historycznie znanych społeczeństwach, istnieją głębokie różnice między ludźmi w zakresie dostępu do zasobów materialnych, do władzy, do środków społecznego komunikowania się. Różnice te dają przewagę jednym ludziom nad innymi. Ideologie polityczne mogą te różnice legitymizować uznając je za naturalne i uzasadniać politykę, która zmierza do zachowania stosunków społecznych na tych różnicach opartych lub też mogą uznawać je za społecznie wytworzone i uzasadniać politykę, która ma zmierzać do ich przewycięzania. Te pierwsze określa się zwykle jako pravicowe, a te drugie - jako lewicowe.

Różnice tego rodzaju we współczesnym świecie nasilają się. Tak np. w ostatnich kilkunastu latach znacznie zwiększyła się kategoria superbogaty (plutokracji, jak określają ją czasami zachodnie media). Droga do megabogactwa okazała się różna w różnych krajach (w USA, w Rosji, w Meksyku, w Indiach, w Chinach), ale jak pisze Chrystia Freeland - publicystka mająca wiele bliskich kontaktów z tą kategorią ludzi - nader powszechne stało się w tej grupie przekonanie o swojej wyższości nad resztą społeczeństwa. I coś w rodzaju filozofii społecznego darwinizmu. Jak np. stwierdził jeden z nich: *„Jeśli człowiek nie jest oligarchą, to znaczy, że jest z nim coś nie w porządku.... Każdy ma te same warunki początkowe, każdy może osiągnąć taką pozycję”*. Ludzie ci z wielką determinacją bronią swoich przywilejów. Tak np. jeden z owych superbogaty menadżerów Mr. Schwartzman z firmy Blackstone stwierdził publicznie, że proponowany przez Obamę podatek, od pewnych dochodów z kapitału można porównać do inwazji Hitlera na Polskę.

Przeciwnieństwo, o którym tu mowa zaostrzyło się w wyniku kryzysu. Tak np. w Stanach Zjednoczonych mamy do czynienia ze znacznym pogorszeniem sytuacji klasy średniej i robotników (masowe zjawiska utraty oszczędności, utraty pracy, zniszczenia różnych mniejszych biznesów) w sytuacji gdy „plutokratyczna elita” znacznie się wzbogaciła. Ale i wcześniej, od czasów prezydentury Reagana, postępowała w Stanach Zjednoczonych coraz silniejsza ekonomiczna polaryzacja. Dotyczy to różnych krajów.

Widząc jaki jest współczesny świat nie mamy żadnych podstaw, aby twierdzić, że przeciwieństwo między lewicą a prawicą jest już nieaktualne. Powstaje natomiast podstawowe dla lewicy pytanie: jaki typ stosunków społecznych, jaka polityka, jakie społeczne urządzenia mogą, w dzisiejszych czasach, przyczynić się do przezwyciężania owej fundamentalnej nierówności między ludźmi? Jakie formy ładu społecznego mogą eliminować krzywdę i niesprawiedliwość nie niszcząc zarazem tych mechanizmów, dzięki którym postępuje rozwój ekonomiczny i cywilizacyjny?

W środowiskach lewicowych można spotkać się z poglądem, że warunkiem poprawy życia społecznego jest zasadnicza zmiana panujących form społeczno-ekonomicznego ustroju. Zmiana ta miałaby oznaczać odrzucenie demokratycznego kapitalizmu i zastąpienie go demokratycznym socjalizmem.

Autorom raportu „Projekt dla Polski” wydaje się, że w obecnej sytuacji historycznej taki sposób myślenia jest bardzo daleki od realizmu. Po pierwsze dlatego, że zarówno w Europie jak w większości krajów świata nie widać sił społecznych, które oczekiwałyby takiej właśnie zmiany; społeczeństwa chcą zmiany, ale nic nie wskazuje, że myślą o niej jako demokratycznym socjalizmem. Po drugie, o wprowadzaniu demokratycznego socjalizmu w ogóle nie można mówić dopóki nie ma jego konkretnej wizji. Najpierw trzeba postarać się o jej stworzenie.

Uznając, że idea budowania demokratycznego socjalizmu ma, przynajmniej obecnie, charakter utopijny uważamy za konieczne szukanie sposobów poprawiania demokratycznego kapitalizmu. Widząc, że na świecie istnieje wielka różnorodność jego form i że formy te ulegają różnym zmianom chcemy skoncentrować się na pytaniu, jak należałoby poprawić demokratyczny kapitalizm w takim kraju jak nasz?

Raport, który przedstawiamy podejmuje ten właśnie problem. Jego punktem wyjścia jest krytyka rzeczywistości społeczno politycznej, jaka ukształtowała się w Polsce w wyniku transformacji. Krytyka ta nie kwestionuje faktu, że III RP jest wielkim osiągnięciem Polaków, a sytuacja naszego kraju jest dużo lepsza niż była kiedykolwiek w ciągu ostatnich kilkuset lat. Mimo to, mamy aż nadto powodów, do niezadowolenia z istniejącego stanu rzeczy.

Podstawą tej krytyki jest pewne wyobrażenie o pożądanym formach ładu społecznego. Wyobrażenie to opiera się na lewicowej aksjologii. Choć podstawowe zręby tej aksjologii są historycznie, w zasadzie, niezmiennie, to już jej zastosowania w życiu społecznym są dzisiaj różne niż dawniej. Założenia programu lewicowego drugiej dekady XXI wieku nie mogą być takie same jak były 60 czy 70 lat temu.

Projekt dla Polski nie jest skoncentrowany na krytyce współczesności, choć lewicowe myślenie często do takiej krytyki bywa sprowadzane. Wielu lewicowców, szczególnie tych z młodszego pokolenia perspektywę lewicową utożsamia z bezkompromisowym krytycyzmem wad i nieprawości demokratycznego kapitalizmu. Choć poważna krytyka tego systemu jest, co oczywiste, niezbędna, ale jeszcze bardziej niezbędna jest wizja programowa mówiąca o tym co i jak powinno być zmienione. Lewica nie stanie się rzeczywistą siłą społeczną, jeśli nie będzie miała do zaproponowania atrakcyjnych dla społeczeństwa kierunków zmian.

Opracowanie niniejsze próbuje sformułować pewne ogólne idee dotyczące tego, jak owo poprawianie demokratycznego kapitalizmu mogłoby wyglądać. Nie zawiera jednak gotowych, skonkretyzowanych propozycji tej poprawy - zaledwie ich zarysy. Po to, aby zarysy takie mogły przekształcić się w realny program zmian konieczne jest przeprowadzenie szerokiej angażującej różne środowiska debaty politycznej i wynikającej z tej debaty rozbudowanej pracy programowej. W takiej debacie powinny być słyszane głosy nie tylko tych, którzy się z lewicą utożsamiają, ale także i tych, którzy dostrzegając niedoskonałość panujących stosunków gotowi są do podjęcia z lewicą dialogu o kierunkach i sposobach ich naprawy. Niniejszy tom ma być głosem w postulowanej tu politycznej debacie. W intencji autorów ma on służyć jej aktywizacji.

Zwracamy się do Państwa o wzięcie w niej udziału.

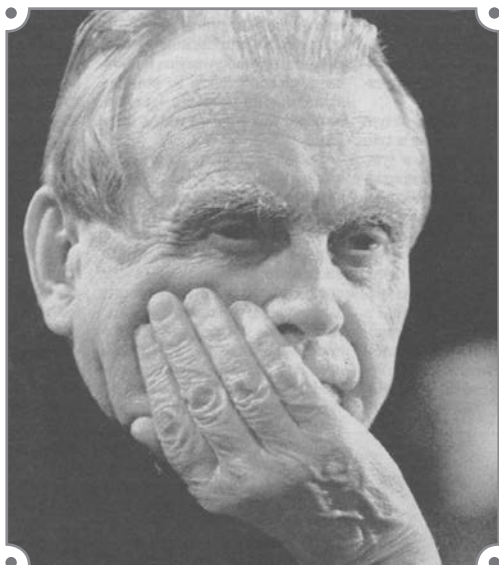
Prof. Janusz REYKOWSKI jest jednym z najwybitniejszych w Polsce, i cenionym zagranicą, psychologiem społecznym; członkiem PAN.

Tytuł i podkreślenia w tekście pochodzą od redakcji.

DWIE ROCZNICE



— Stanisław L. BRZOZOWSKI —



— Czesław MIŁOSZ —

13 kwietnia roku 1911 zmarł Stanisław Leopold BRZOZOWSKI – powieściopisarz, krytyk literacki, myśliciel. 30 kwietnia urodził się Czesław MIŁOSZ – poeta, eseista, laureat literackiej Nagrody Nobla.

Te dwie okrągłe rocznice zbiegają się jakby nieprzypadkowo, choć oczywiście nie można dopatrywać się w tej zbieżności żadnych ukrytych znaczeń, żadnych tajemnych zrzążeń losu. Obie te wybitne postaci, należące do pantheonu polskiego piśmiennictwa, reprezentują doświadczenia i przemyślenia o fundamentalnym znaczeniu dla kultury intelektualnej i artystycznej Polski u schyłku drugiego i zarania trzeciego tysiąclecia naszej ery. Nie można bez nich zrozumieć sedna tej kultury, istoty kulturowej tożsamości naszego narodu. Nie można też pojąć skali dramatyzmu, z jakim wypada się zmierzyć budowniczym owego etosu w starciu z zewnętrznymi wrogimi potęgami, ale także – i to niemal nieuniknienie – z bratobójczą kontestacją ze strony współziomków. To sprzężenie cierpienia obu Jubilatów, spadające na nich nawet i po ich śmierci, znów nasuwa myśl o nieprzypadkowej jakby zbieżności obu dat rocznicowych.

Przed wszystkim jednak nieprzypadkowa jest więź, łącząca obie te postaci o randze wręcz pomnikowej. Jest tą więzią cechujące Stanisława Brzozowskiego i Czesława Miłosza wyjątkowo głębokie i żarliwe poczucie odpowiedzialności za naszą społeczność, za nasze położenie w rodzinie człowieczej, nasze usytuowanie pośród bliższych i dalszych współmieszkańców „Ziemi planety ludzi”.

Sejm RP ustanowił rok 2011 Rokiem Miłoszowskim. Nie tylko ze względu na zbieżność rocznicowych dat postanowiliśmy rozpocząć cykl związanych z nimi publikacji na naszych łamach od rozmowy z wybitnym prozaikiem Eugeniuszem Kabatcem – skądinąd stałym współpracownikiem naszego pisma – który dołożył starań, by właśnie na setną rocznicę

śmierci Stanisława Brzozowskiego ukończyć swą najnowszą książkę, eseizowaną powieść ukazującą ostatnie, florenckie lata życia autora *Legendy Młodej Polski*. Puścizna myślowa i literacka Brzozowskiego była przecież w szczególny sposób ważna i bliska Miłoszowi. Rodowody intelektualne obu tych pisarzy były sobie w pewien sposób pokrewne, a losy życiowe przyniosły im obu przejścia i doświadczenia poniekąd analogiczne; pierwszy z nich odniósł się do swych przeżyć tego rodzaju w (nieukończonyj niestety) powieści autobiograficznej o wymownym tytule *Sam wśród ludzi*, drugi poddał je wnikliwej analizie w studium opatrzonym bardziej jeszcze dramatycznym tytułem *Człowiek wśród skorpionów*.

Oba te utwory pozostają w naszym piśmiennictwie przejmującym świadectwem ceny, jaką opłacać ciągle jeszcze wypada heroiczny wręcz nonkonformizm intelektualny i etyczny pisarzy dających świadectwo prawdzie o kainowych praktykach podejmowanych w konfraterni literackiej mieniającej się narodową.

W.S.

PROMETEUSZ ZAPOZNANY

Z Eugeniuszem Kabatcem, autorem książki
o Stanisławie Brzozowskim, rozmawia Waław Sadkowski

Ukończyłeś właśnie, Eugeniuszu, książkę o Stanisławie Brzozowskim. Tkwiła w Tobie w postaci załączkowej od lat – pamiętam, że zaczynałeś o niej przemyślać w czasie naszej wspólnej bytności we Florencji, w początku dziesiątej dekady zeszłego stulecia. W roku 2010 przeczytałem dwa fragmenty Twojej książki – w Twórczości i w Zdaniu. Może powinienem poczekać z tymi pytaniami do czasu, aż poznam całość tej książki, ale pewne okoliczności rocznicowe nie pozwalają zwlekać, a poza tym po lekturze byłbym (i mam nadzieję, że będę) recenzentem Twojej książki, teraz zaś jestem oczekującym jej ukazania się, zaintrygowanym nią czytelnikiem. Jaki jej nadałeś tytuł?

No więc zakończyłem wreszcie tę moją wieloletnią pracę nad opowieścią o Leopoldzie Stanisławie Brzozowskim, pisarzu i filozofie. Zakończyłem – nie kończąc. Jak on sam nie kończy, przedwcześnie wytracony z życia, swojej misji...Książkę nazwałem Ostatnie wzgórze Florencji, gdyż tam właśnie spędził ostatnie lata swego życia i tam, na wzgórzu Trespiano, spoczął na zawsze. Wzgórze mają tu swój topos szczególnie, panoramę intelektualną i zmysłową o niemal sakralnym znaczeniu...

I właśnie misję, jaką postawił sobie Brzozowski – jako myśliciel i pisarz, filozof i krytyk literacki, jego prometejski etos – pragniesz ocalić od zapomnienia, które jej w naszym, rozleniwionym intelektualnie świecie zagraża...

Ocalić od zapomnienia? To piękna i szlachetna idea, mogłaby wystarczyć jako zadanie, by napisać książkę o kimś tak ważnym dla kultury polskiej, jak Leopold Stanisław Brzozowski. Ale to postać na tyle złożona, tak uwikłana w najtrudniejsze sprawy naszego narodowego i ponadnarodowego świata, że w jednej książce nie da się zmieścić. Toteż choć niemało już o tym tragicznym pisarzu rzeczy powstało, mój punkt widzenia, rzekłbym, rusko-florentryński, oparty o dokumentację jego ostatnich lat życia, lecz nieco zbeletryzowany, dotrzeć powinien do szerszych środowisk czytelniczych, otwierając pola niechętnie odwiedzane przez rodaków. Jest bowiem Brzozowski męczennikiem polskiej sprawy „między swemi”, utopionym w bagnie ojczystym z całą mściwą obrzędowością ludzką i boską. Trzeba zawsze niemało wysiłku – a może i sposobu – by ten wątek do publicznej historiozofii przez literaturę i filozofię wprowadzić. A taką potrzebę wywołują przede wszystkim okoliczności sprawy.

Do jej etosu, jak to mi podpowiadasz, wie- dzie pięć różnego rodzaju i znaczenia dróg, na skrzyżowaniu których przeznaczenie w sposób topograficzny i niemal symboliczny ulokowało go w ostatnim roku życia, a mam na myśli willę Parenti na via Delle Cinque Vie pod odwróconym od miasta wzgórzem florenckim. Dwie z tych dróg są, że użyję słowa, arcydzielne – to jego twórczość literacka i filozoficzna, trzy inne są wręcz szkaradne – to jego ubóstwo, choroba i oskarżenie o zdradę narodową. Zbiegły się one nazbyt wcześnie, by się z tych trzech pętli wydo- być, powaliły go śmiertelnie w 33-cim roku życia na wzór niemal Chrystusowy, wtedy właśnie, gdy próbował go odszukać...

Przypomniałeś ową drogę literacką. Też jest dwoista. Jedna jej odnoga to krytyka, z pomni- kowym dziełem Legenda Młodej Polski na czele. Niestrudzone kwestionowanie zarówno konwen- cjonalności już historycznie utrwalonej – owej zmory sprowadzania dramatycznych konfliktów i tragedii do poziomu gawędy szlacheckiej, prze- pojonej bezmyślnością uchodzącą za wyrozumia- łość – jak i tej „awangardowej”, młodej jeszcze wiekiem, ale natychmiast ulegającej spetryfiko- waniu modernistycznym eskapizmem. Bo wtedy Brzozowski – pogromca zaściankowego kwie- tyzmu, z tym samym żarem zwraca się przeciw takiej ucieczce w iluzoryczną sferę wolności dla „sztuki dla sztuki”, sferę w każdym razie wyob- cowaną z szerszego kontekstu życia społecznego. Odnoga druga zaś – to jego powieściopisarstwo, niegdyś niemal mocarne; na Płomienach wycho- wały się przecież dwie przynajmniej generacje polskich rewolucjonistów, lewicowców, „socja- łów”. A powieść Sam wśród ludzi, nieukończona jak wiadomo, była swego rodzaju zapowiedzią całej, ogólnościatowej fali literackich spowiedzi członków „straconego pokolenia”. Tyle że eks- presja artystyczna pierwszego zwłaszcza z tych utworów zwietrzała już całkiem, roztopiła się w młodopolskiej egzaltacji stylistycznej...

To problem, jak sądzę, nie do rozwikłania. Pojawił się w myśli krytycznej Brzozowskiego jakby w ostatniej chwili, jakby w odpowiedzi na swe własne pytania, stawiane zwłaszcza w filozofii czynu, gdzie przekraczał pytania w jego twór- czym duchu, odnajdując tam tajemnicę życia jako wartość ponadludzką. Byłby zapewne tę po- szerzoną wizję świata rozwinął, gdyby nie ugrzązł

w materii zamierającego życia i pewnej, nigdy do końca nie zweryfikowanej religijności ducha, już nie do opanowania intelektem, choć takie usiłowania w nim trwały. Przejście nad przyrodą, dotąd pojmowaną (w jego filozofii pracy) jako materialność wroga człowiekowi ku nadprzyro- dzoności ducha – to mogło zaowocować wnioska- mi trudnymi do przewidzenia. To był dopiero początek nowej drogi, znalazł się tam – jakby na kolejnym etapie społecznie filozoficznego pielgrzymowania – śledząc modernizm katolicki, wymykający się Kościołowi, ale także przypadek i dzieła kardynała Newmana. Doświadczenia wyniesione z *Legandy Młodej Polski*, z *Idei*, wprowadzały do kultury narodowej europejski przeciąg w obu kierunkach, zachodnim, ale i wschodnim. Ten drugi, zwłaszcza po ukazaniu się *Płomieni*, jak wiadomo, spotkał się ze strony zapiekłej polskości z zarzutem wynarodowienia, „zruszczenia” duszy pisarza, ale nie odstraszył go od zajmowania się nowymi zjawiskami w burzą- czej się wówczas kulturze rosyjskiej. Jednak coraz częściej nadstawiał ucha na fermenty anglosaskie, odkrywając m.in. Patera, którego nasza „Litera- tura na Świecie”, drogi Wacku, dopiero dzisiaj polskiemu czytelnikowi przypomina...Boję się powiedzieć, ale coraz częściej odnoszę wrażenie, że zaczął rzucać się na wszystkie strony, jak ryba wyrzucona na piasek, zduszony nadmiarem po- wietrza myśli, za wszelką cenę chcący odnaleźć swoje morze „nieskończoności”, by jak Leopardi móc ”błogo w nim zatonać”. Newman był też po- etą i otworzył przed nim to morze katolicyzmu, które miało się stać znakiem wszechmocy abso- lutu, czymś w rodzaju religijnego imperatywu kategorycznego, ale co jest sprzecznością samą w sobie, więc w niej utknął i zgasł, nie posunąw- szy się ani o jedną myśl dalej. Zwracam uwagę, że stało się to wkrótce po tym, jak wyrwał się z objęć heglowskiej Konieczności Historycznej, by móc nie jednać się z rzeczywistością i pozostać w kręgu dialektyki marksistowskiej, lecz już na wzór zachodni, rewizjonistyczny, powiedziało- by się dziś, czyli poza Engelsem, któremu, jak wiemy, poświęcił kilka polemicznych rozpraw, nazywając je „Anty-Engels”. Pojawił się tu zatem podwójny szkopuł w tym odślanianiu Brzozow- skiego jako filozofa – gdy przedstawia się go nam jako „prekursora zachodniego marksizmu”, co zawdzięczamy Andrzejowi Walickiemu, a potem zanika we mgle bytu na drodze do rewizji rodzi-

mego katolicyzmu jako doli i niedoli narodowej. Mój narrator w opowieści nie ma zaufania do tej drogi.

W moim rozumieniu, Brzozowski może posłużyć za swego rodzaju prekursora tych lewicowców zachodnich, których zwykliśmy nazywać lewicą niezależną, niezdiscyplinowaną partyjnie, a w wyniku owego usamodzielnienia immunizowaną na wszelkie wpływy i deformacje tzw. partyjniactwa. Był w tej postawie tak konsekwentny, że socjalizmu nie uznawał za c e l dążeń rewolucjonisty, lecz za ś r o d e k, za stworzenie sytuacji, w której człowiek uwolniony zostaje zarówno od przysłowiowych kajdan klasowego ucisku, jak i od nie-twórczego stosunku do pracy. I będzie nie tylko mógł, ale wręcz m u s i a l rozwijać swój twórczy potencjał - integralną część składową wytwórczych mocy zbiorowości. Można to uznać za zbieżne z koncepcją przezwyciężenia wyalienowania człowieka ze społeczeństwa i jego upodmiotowienia, dość często spotykaną u teoretyków socjalizmu (od przysłowiowego niemal „młodego Marksa” poczynając), ale u Brzozowskiego, zwłaszcza w jego utworach literackich, koncepcja ta w znacznie wyższym stopniu przepojona jest prometejskim patosem.

Dość późno zetknąłem się z jego twórczością powieściową i nie zostałem nią uwiedziony - godząc się z nim samym, że jego proza beletrystyczna i dramatyczna stanowi narracyjne przedłużenie dyskursu literacko-filozoficznego, poszerzając jego zakres i oddziaływanie. Jako przykład innej kultury polskiej jest zapowiedzią raczej niż realizacją programu przemian, wprowadzając jednakże w ten nurt przeświadczenie o potrzebie głębokiego przeorania umysłowości polskiej, zniewolonej nie tylko warunkami życia rozbiorowego, ale i własnym poszlacheckim lenistwem i „tchórzostwem wobec form”, jak to określił, przywołującym na myśl procesy nieodczownych przeobrażeń społecznych i cywilizacyjnych, zagubionych i bezsilnych na płyciznach „ni to katolicyzmu, ni to socjalizmu, a najpewniej w retoryce pustego patriotyzmu”. Nic nie może być w literaturze neutralne i obojętne, bywa, że jest narażone na zdradę.

Właśnie: nie ma sposobu na uniknięcie tej kwestii w roku podwójnie rocznicowym. Mija sto lat od śmierci autora Legendy Młodej Polski - oraz od przyścia na świat Czesława Miłosza.

Jakie znaczenie miało dla Ciebie studium pióra tego ostatniego, zatytułowane Człowiek wśród skorpionów, a poświęcone tragicznym losom drugiego z - jeśli tak można powiedzieć - tegorocznych Jubilatów?

Miłosz jest przejmujący w swojej rozprawie ze światem polskich skorpionów, wśród których Brzozowski znalazł się jak Hiob ze swoją wiarą w socjalizm i twórczą siłę proletariatu jako nowej, zdrowej polskości. Człowiek, któremu Miłosz poświęca swoją uwagę z tak gniewną pasją, właśnie on usiłując „ocalić od zapomnienia” jako zjawisko o wyjątkowym znaczeniu dla kultury polskiej - został skazany przez Boga, czyli Ojczyznę na wielorakie cierpienia, zaostrażając je po kolei - przez plagi ubóstwa, choroby i śmiertelnego oskarżenia - został zdradzony dwojako - jako głęboko myślący pisarz polski i jako Hiob. Został skazany na męczeńską śmierć na obczyźnie, ale wśród rodzimego robactwa. Dopisuję p. Miłoszowi tę konkluzję wraz z całą jej historyczną i współczesną implikacją. A więc że zmarł nie wszystek, że duch jego czuwa wśród dzieł swoich i sobie podobnych, przywołując innych na tę trudną drogę ku jaśniejszej Polsce i drogę tę - tymi, którzy wraz z nim podjęli niezbędną za nią odpowiedzialność - z wysiłkiem zaludniając...

Dramat swego bohatera (bo chyba Brzozowski nie jest jedynie bohaterem - czyli główną postacią Twojej powieści?) rozpatrujesz w skali niemal metafizycznej. Zaczynam podejrzewać, że czeka mnie - i nas wszystkich - lektura utworu uformowanego na podobieństwo Newmanowskiej Apologii pro vita sua. Czy empatia, jaką żywisz dla Brzozowskiego, nie upoważniała by Cię do zatytułowania Twej książki Apoologią pro vita eis? Wybacz ten żart, przyjacielski: wybór Leopolda Stanisława Brzozowskiego na idola wydaje mi się godny szczerego uznania.

Nie jestem ci ja człowiekiem na tyle zuchwiałym, bym chciał wynieść bliźniego swego, nawet tak niezwykłego, jak Brzozowski, ponad Boga. Ale postawić go obok - tak: niech się stwarzają nawzajem. Z rozdziałów znanych Tobie pewnie już można odczytać, jak trudno mi jest z tym poradzić, więc się kryję za narratorem, który nie wszystkim się spodoba, bo jest on mnichem prawosławnym, budującym w tym czasie cerkiew florencką, co jest prawdziwe podobnie zresztą, jak wszystkie podstawowe fakty

i wydarzenia, potwierdzone dokumentalnie i historycznie. Jego próby zatrzymania Leopolda przy naszej „niesamowitej Słowiańszczyźnie”, spaliła na panewce, Brzozowski coraz zdecydowaniej otwiera się na zachód, wciągając w tę przestrzeń ideową swoich bezradnych w Polsce akolitów po obu stronach politycznej barykady. Jako idol polskiej młodzieży, błędzącej po manowcach niedojrzałości, pozostaje przykładem myśliciela, który rozwierając bramy różnych

możliwości na sobie samym pokazuje, jak trudno jest wybrać tylko jedną jedyną pewną drogę. Nie zdążył powiedzieć, że nie ma takiej...

Dziękuję, że zechciałeś wprowadzić mnie – a za moim pośrednictwem czytelników naszego pisma – in maedias res swej nowej książki z tak ujmującą szczerością. Jestem pewien, że jej lektura przyniesie nam wszystkim wiele materiału do przemyśleń.

Z PISM CZESŁAWA MIŁOSZA

Z tyle rozległego, co imponującego dziedzictwa twórczego Czesława Miłosza przypominamy niżej dwa teksty – różne co do formy lecz jakże zarazem uderzająco bliskie sobie widocznym trudem poszukiwania prawdy o fundamentalnych i zarazem uniwersalnych wartościach ludzkich i społecznych, których waga i wielkość przekraczają swój czas.

Redakcja

TRAKTAT TEOLOGICZNY

(fragmenty)

3. NIE JESTEM

Nie jestem i nie chcę być posiadaczem prawdy.

W sam raz dla mnie wędrowanie po obrzeżach herezji.

Żeby uniknąć tego, co nazywają spokojem wiary, a co jest po prostu samozadowoleniem.

Moi polscy współwyznawcy lubili słowa kościelnego obrzędu, ale nie lubili teologii.

Może byłem jak mnich w śródleśnym klasztorze, który patrząc przez okno na rozlewiska rzeki pisał swój traktat po łacinie, w języku niezrozumiałym dla wieśniaków w baranich kozuchach.

I co za komizm między krzywymi płotami miasteczka,

gdzie kury grzebią na środku pyłnej ulicy, deliberować o estetyce Baudelaire'a!

Przyzwyczajony zwracać się o pomoc do Matki Boskiej,

z trudem tylko ją rozpoznawałem

w Bóstwie wyniesionym na złoto ołtarzy.

4. PRZEPRASZAM

Przepraszam, wielbni teologowie, za ton nie licujący

z fioletem waszej togi.

Miotam się i przewracam w łożu mojego stylu, szukając kiedy będzie mi wygodnie, ani za świątobliwie, ani zanadto świecko.

Musi być miejsce środkowe, między abstrakcją i dziecinnieniem, żeby można było rozmawiać poważnie o rzeczach naprawdę poważnych.

Katolickie dogmaty są jakby o parę centymetrów za wysoko, wspinamy się na palce i wtedy przez mgnienie wydaje się nam, że widzimy.

Ale tajemnica Trójcy Świętej, tajemnica Grzechu Pierworodnego i tajemnica Odkupienia są opancerzone przeciw rozumowi.

Który na próżno próbuje dowiedzieć się o dziejach

Boga przed stworzeniem świata, i o tym, kiedy w Jego Królestwie dokonał się rozłam na dobro i zło.

I co z tego mogą zrozumieć biało ubrane dziewczynki

przystępujące do pierwszej komunii?

Choć i dla siwych teologów to trochę za dużo, więc zamykają księgę powołując się na niewystarczalność ludzkiego języka.

Nie jest to jednak dostateczny powód, żeby szczebiotać o słodkim dzieciątku Jezus na sianku.

15. RELIGIĘ BIERZEMY

Religię bierzemy z naszego litowania się nad ludźmi.

Są za słabi, żeby żyć bez boskiej opieki.

Za słabi żeby słuchać zgrzytliwego obrotu piekielnych kół.

Kto z nas pogodzi się z wszechświatem bez jednego głosu

Współczucia, litości, zrozumienia?

Człowieczeństwo oznacza zupełną obcość pośród galaktyk.

Dostateczny powód żeby wspólnie z innymi wznosić świątynie niewyobrażalnego miłosierdzia.

Tekst *Traktatu teologicznego* drukujemy za „Gazetą Wyborczą” z 29-30 grudnia 2001 r.

PAŃSTWO WYZNANIOWE?

„Nie jestem powołany do tego, żeby wypowiadać się o Kościele. Z niepewnością jednak kwestie wiary głęboko mnie obchodzą, a one niekoniecznie mogą być mierzone triumfem zewnętrznym Kościoła i ilością wiernych uczestniczących w nabożeństwach. Niewykluczone, że aby uzyskać prawdziwszy obraz tego, co dzieje się w głowach i sercach ludzkich, trzeba wyjść poza krąg słownictwa używanego przez kler w różnych jego wystąpieniach. Co uderza w Polsce dzisiejszej, to ponowne pojawienie się dwóch języków, tyle że miejsce marksistowskiego zajął język katolicki. Można tylko życzyć księżom, żeby tak powszechnie wyrażana zgoda na wiodącą rolę katolicyzmu jako religii całego narodu nie przesłoniła im prawdy nieco innej, ujawnianej w rozmowach, które milkną w ich obecności. Bo, powiedzmy sobie szczerze, **ludzie w Polsce zaczęli się księży bać, co nie jest dobrym znakiem...**

I oto dochodzimy do starego sporu o środki bogate, czyli do pytania **czy Kościół powinien dążyć do użycia państwa jako swego narzędzia tam, gdzie w grę wchodzi najwyższe wartości etyczne.**

Zdawałoby się, że skoro człowiek jest istotą słabą i ułomną, odwoływanie się do jego sumienia da zawsze gorsze wyniki niż prawem obwarowane zakazy, które przynajmniej zmuszą go do unikania zła. Czy skoro jest pewien, że jego nauka o tym, jak człowiek ma żyć, jest prawdziwa, Kościół nie ma obowiązku narzucić jej ludziom i starać się tak zorganizować społeczeństwo, żeby jak najmniej oddalało się od religijnych przykazań? Z pozoru wygląda to logicznie, jednak szkody, które niesie twierdząca odpowiedź na to pytanie, znacznie przewyższają korzyści. Rozumieli to dobrze ojcowie-założyciele demokracji amerykańskiej opartej na zasadzie rozdziału Kościoła od państwa. Thomas Jefferson w swoim projekcie konstytucji stanu Wirginia wyraźnie oddzielił prawa obywatelskiego od przynależności obywateli do takiego albo innego wyznania i konstytucja ta stała się modelem dla konstytucji Stanów Zjednoczonych. Głównym jego argumentem jest stwierdzenie, że nasze prawa obywatelskie nie są zależne od naszych religijnych opinii, nie bardziej niż od naszych opinii w dziedzinie fizyki i geometrii: i dlatego piętnując jakiegoś obywatela jako nie zasługującego na publiczne zaufanie, jeżeli nie opowiada się za tą czy inną religijną opinią, względnie przeciwko niej, pozbawia się go bezprawnie tych przywilejów i pożytków, do których, wraz ze swymi współobywatelami, ma naturalne prawo; że zasady samej tej religii, którą miano umacniać, zostają poderwane, kiedy przekupuje się monopolem światowych zaszczytów i dochodów ludzi skłonnych udawać, że ją przyjmują i stosują się do jej wskazań; że choć ci, którzy nie umieją oprzeć się takiej pokusie, są występni, nie są bez winy ci, którzy na ich drodze kładą taką przynętę.

Rozdział Kościoła od państwa, ściśle przestrzegany w Stanach Zjednoczonych, nie przeszkodził religii w rozszerzaniu jej wpływów...

Debaty o stosunkach pomiędzy państwem i Kościołem nie da się w Polsce uniknąć, jednak **żeby mogła się odbyć, uczestniczący w niej powinni móc przemawiać bez obawy.**

Dlatego korzystam ze swego przywileju, jako że nie ubiegam się o żaden urząd publiczny, a więc nie muszę być ostrożny, i wypowiadam kilka opinii, które na pewno są przez wiele osób wypowiadane po cichu, w gronie zaufanych.

Wyniosłem i zachowałem tak dużo z lekcji religii w szkole średniej, zwłaszcza z historii Kościoła, dogmatyki i apologetyki, że nie byłbym w porządku, gdybym lekceważył zalety wychowania katolickiego. Jednakże skoro tak dobrze rozwinął się system katechezy poza budynkiem szkoły, muszę przyznać, że bardziej trafiły mi do przekonania argumenty przeciwników zmiany i wydali mi się oni bardziej dalekowzroczni.

Wszelka oficjalność i wszelki przymus szkodzą religijnej wierze i należy ich, jeżeli można, unikać.

Udział w lekcjach jest dobrowolny, ale sytuacja jest inna w krajach, gdzie większość rodziców jest bezreligijna (na przykład w Czechach) albo należy, mniej więcej równomiernie, do kilku wyznań. Tam, gdzie przeważająca katolicka większość odnosi się do wyznaniowej mniejszości niechętnie, jako pozbawionej cech „dobrego Polaka”, grozi nacisk przewidziany przez Tomasza Jeffersona. Spora liczba rodziców i dzieci będzie opierać się takiemu naciskowi w imię wolności sumienia, ale wtedy te dzieci żadnego przygotowania religijnego nie otrzymają. Oczywiście, dużo zależy od poziomu umysłowego i zdolności pedagogicznych księży katechetów; jeżeli ktoś mnie zapewni, że wszystko tutaj przedstawia się dobrze, wycofam moje podejrzenia co do szkoły jako wylęgarni antyklerykalizmu. Przyznaję się do niewiedzy i pozostawiam margines wątpliwości. Niepokoiło mnie jedynie to, że **powrót religii do szkół dokonał się nagle i nie był poprzedzony debatą, tak że robił wrażenie lęklivej zależności sfer rządowych od hierarchii kościelnej.**

A również nie wygląda na to, żeby obsesyjne zajmowanie się kleru sprawami moralności seksualnej mogło być w Polsce swobodnie dyskutowane...

Religia wyrasta z tak mocnych potrzeb człowieka, że nie można do jej losów stosować miary dziesiętników lat, raczej potrzebne są tu stulecia. Przejście od starożytności pogańskiej do chrześcijaństwa w imperium rzymskim było długotrwałym procesem. W jakim momencie pochrześcijańskiej cywilizacji naukowo-technicznej jesteśmy, odgadnąć trudno, bo skoro przebywamy wewnątrz niej, brak nam perspektywy. Tym niemniej z obserwacji takich krajów, jak Anglia czy Francja, ze spadku liczby kandydatów do stanu duchownego, z teologii „śmierci Boga” i teologii „*Deus otiosus*”, czyli Boga bezczynnego, **wyłania się obraz daleko posuniętego odpływu wiary.**

Religijność horyzontalna na kontynencie amerykańskim korzysta z zaangażowania społecznego, z teologii wyzwolenia na przykład. Natomiast w naszej części Europy jest sprzęgnięta z gwałtownością uczuć narodowych, tak że polskość czy słowackość są utożsamiane z katolicyzmem rzymskim, ukraińskość z katolicyzmem greckiego obrządku, rosyjskość z prawosławiem itd. To sprzęgnięcie może działać przez czas dłuższy, osobiście jestem jednak sceptyczny.

Może tak się zdarzyć, że kler będzie celebrować obrzęd narodowy, kropiąc, święcąc, egzorcyzmując, ośmieszając się zarazem swoim tępieniem seksu, a tymczasem będzie postępowo wydrążanie się religii od wewnątrz i za parę dziesiątków lat Polska stanie się krajem równie mało chrześcijańskim jak Anglia czy Francja, z dodatkiem antyklerykalizmu, którego zaciekłość będzie proporcjonalna do władzy kleru i jego programu państwa wyznaniowego.

A tymczasem stawka jest większa i gdzie indziej ulokowana. Stało się coś złego z religią wskutek zwycięstwa nauki, zwłaszcza w dziewiętnastym wieku i nie jest wykluczone, że dotychczas mamy do czynienia ze zjawiskiem opóźnionej świadomości, tzn. nasze wyobrażenia o wszechświecie i świecie ludzkim zatrzymały się na tamtym, dziewiętnastowiecznym poziomie i że nie umiemy zdobyć się na nowe ujęcia, bliższe temu, co odtąd zdarzyło się w myśli naukowej. Nie umiemy przede wszystkim z braku odpowiedniego języka, o czym zresztą przekonuje dzisiaj zarówno nieprzetłumaczalność niektórych zasadniczych intuicji nauki poeinsteinowskiej, jak nieporadność teologii. A przecież wiele się odbywa równoległe z przejawami rozpadu i dekadencji, „idzie nowe”, czego świadomi są ludzie śledzący znaki, zapowiedzi w dziedzinie poezji, malarstwa czy muzyki, czy też, co może ściślej, w dziedzinie, którą da się określić tylko w przybliżeniu.”

RELIGIA • KOŚCIÓŁ • WSPÓŁCZESNY ŚWIAT

Wiesław ŁUKA

ŚWIATŁOŚĆ BLEDNIE?

Billboard, jak to billboard – wytrzyma każde marketingowe hasło; podobnie książkowa okładka. Hasło brzmi: „Sensacyjny wywiad z Papieżem”. Tytuł wywiadu rzeki: *Światłość świata* (tytuł niemieckiego oryginału identyczny). Żyjemy w czasach i w kręgu cywilizacyjnym, w których nawet największa dla chrześcijan Światłość wymaga handlowego wsparcia.

Jest w tym wywiadzie dużo, szczerze i „odważnie o grzechach Kościoła” (to także z okładkowej reklamy). Ale wydaje mi się, że naprawdę nieoczekiwanie i sensacyjnie zabrzmiało już ogólne wyznanie sprzed kilku laty, kiedy ówczesny jeszcze prefekt Kongregacji Nauki Wiary, kardynał Joseph Ratzinger w ostatnich miesiącach życia Jana Pawła II, podczas wielkopiątkowej Drogi Krzyżowej w rzymskim Colloseum mówił o „*przerażeniu brudem na szacie i obliczu Twego Kościoła...*”. Miał wtedy zapewne na myśli to, co teraz w *Światłości świata*, już jako pontifex maximus, uszczegółowił. Na pytanie o śmiertelny grzech nieczystości wśród hierarchii i w ogóle kleru odpowiada: „*Oczywiście duchowa atmosfera lat siedemdziesiątych, która swoje początki ma już w latach pięćdziesiątych, sporo wniosła do sprawy. Nie jest bez znaczenia, że to wtedy rozwinięto teorię, zgodnie z którą pedofilia miałyby być traktowana jako coś pozytywnego (podkr. WŁ). Przede wszystkim jednak znalazła zwolenników teza – która przeniknęła także do katolickiej teologii moralnej – że nie ma czegoś, co byłoby złem samym w sobie. Miałyby istnieć zło jedynie «relatywne» ...Pedofilia jest oczywiście przede wszystkim chorobą poszczególnych osób, ale że mogła ona stać się tak bezkarna i tak rozpowszechniona, zależało też od duchowej konstelacji, przez którą podstawy teologii moralnej, czyli dobro i zło stały się tak problematyczne. Dobro i zło stały się zamiennie...*”.

Zdaje się, że wcześniej nigdzie, nie tylko w publikowanych dokumentach Kościoła, nie można było tego przeczytać; powtórzmy: „**pedofilia traktowana jako coś pozytywnego**”. To zasługuje bez wątpienia na miano sensacyjnego wyznania.

W kilku innych, tzw. drażliwych i od lat powszechnie poruszanych kwestiach Benedykt XVI powtarza znane stanowisko Kościoła, ale w uzasadnieniach często pozytywnie zaskakuje nowymi sformułowaniami; jakby niekiedy robił kolejny krok w kierunku spodziewanego, choć zapewne nierychłego, złagodzenia rygorystycznych przepisów prawa kanonicznego.

W sprawie nowych związków małżeńskich, zawartych po rozwodzie, przyznaje, że „trzeba się zastanowić na regulacją” prawa małżonków do uczestnictwa we wszystkich sakramentach (przede wszystkim w komunii).

W sprawie antykoncepcji i ochrony życia poczętego twierdzi: „*Kościółowi katolickiemu nie udaje się jednak przekonać ludzi do swej etyki seksualnej...To musimy na nowo przemyśleć, na nowo sformułować*”.

W sprawie celibatu księży wykazuje dużą bezradność. Prowadzący wywiad, Peter Seewald przytacza w pytaniu apele niektórych biskupów o „*więcej wyobraźni i nieco więcej wspaniałomyślności...aby obok podstawowej formy, jaką stanowi celibatowe kapłaństwo, możliwa stała się posługa kapłańska żonatych...*” Papież zaskakuje pomysłem: „*Uważam, że celibat zyskuje na znaczeniu, a przede wszyst-*

kim na praktykowalności w życiu, gdy powstają wspólnoty kapłańskie. To ważne, by kapłani nie żyli w izolacji, lecz w niewielkich wspólnotach, wzajemnie będąc dla siebie podporą i współprzebywając ze sobą w służbie Chrystusowi...” Tu autor tego pomysłu może się narazić na uwagę, zwłaszcza ze strony przeciwników i prześmiewców, że to „współprzebywanie” sprzyja zachowaniom homoseksualnym; pamiętamy przecież aferę sprzed kilku lat w jednym z seminariów austriackich, gdzie alumni i ich nauczyciele wyczyniali brewerie na tle seksualnym i spontanicznie, z roześmianymi buziami pozowali do fotografii, które obiegy świat; pamiętamy niefotografowane, ale relacjonowane przez poznańskich kleryków zachowania ich szefa, metropolity, arcybiskupa Juliusza Paetza; ile takich zdarzeń było, ile jest, ile będzie? Oczywiście, Benedykt XVI jest zdecydowanie przeciwny takim zachowaniom, czemu daje wyraz w innym miejscu wywiadu: „Kandydat o homoseksualnych skłonnościach nie może zostać kapłanem...Celibatu nie można utożsamiać z homoseksualnymi tendencjami...”

W sprawie kapłaństwa kobiet papież wyraża jednoznaczne stanowisko (akceptując przywołuje dokument Jana Pawła II): „Kościół nie ma żadnej władzy udzielania święceń kapłańskim kobietom” I dodaje od siebie: „Zdumiewa raczej, że we wspólnocie Jezusa Chrystusa nie było kapłanek... choć w ówczesnym świecie wszystkie religie znały kapłaństwo kobiet...”

W sprawie ekumenizmu nie dowiadujemy się niczego nowego - działania na rzecz jedności chrześcijan trwają, ale do przełomu droga pozostaje bardzo daleka, mimo twierdzeń niektórych biskupów, że jest bliska (brakuje tylko trzy procent uzgodnień - to hurraoptymistyczna opinia jednego z purpuratów niemieckich). Zbliżenie z prawosławiem, twierdzi papież, utrudniają „jego własne, wewnętrzne napięcia i brak wewnętrznej jedności” w tej fundamentalnej kwestii rozbitcia Kościoła w XI tysiącleciu.

W sprawie dialogu z Żydami Benedykt XVI widzi po hekatombie Holocaustu potrzebę „patrzenia na Lud Izraela z pokorą, wstydem i miłością”. „Naszych Starszych Braci w wierze” woli nazywać „Ojcami w wierze”, ponieważ Żydom „starszy brat” źle się kojarzy z Ezawem, odrzuconym przez matkę bratem Izaaka (a wnukiem Abrahama).

Nie ma odwrotu od dialogu wewnątrz chrześcijańskiego oraz z innymi religiami w duchu Vaticanum II. Autor („pancerny kardynał”) kontrowersyjnego dokumentu z roku 2000, „*Declaratio Dominus Jezus*” powtarza również w *Światłości świata*, że „różnego rodzaju prawdy są obecne także w innych religiach”, i że stanowią „jakby odpryski światła pochodzące z wielkiej Światłości”. (Jan Paweł II w tej kwestii wyznał w wywiadzie-rzecz: „Kościół katolicki nic nie odrzuca z tego, co w religiach owych prawdziwe jest i święte”; „Przekroczyć próg nadziei”; 1994). Ale „jedyna Prawda” - nie ma wątpliwości Benedykt XVI - znajduje się w Kościele katolickim. Z wielkim zainteresowaniem wysłuchalibyśmy jednak pogłębionej odpowiedzi na pytanie, które, niestety, nie pada z ust P. Sewalda, a które dwa tysiące lat temu sędzia Piłat zadał Jezusowi w noc poprzedzającą ukrzyżowanie: Cóż to jest prawda? Piłat miał wątpliwości, zawiesił głos i odszedł...

Od początku świata do jego końca najczęstsze umysły będą mieć wątpliwości i nieprzewidywalną trudność z tą odpowiedzią, zwłaszcza w kontekście dręczących ludzkość zjawisk - wolności, zła i cierpienia. Benedykt XVI nie zamyka oczu na tajemnicę zła, nie przemilcza problemu cierpienia czynionego i zadawanego przecież często w imię właśnie wolności (także w Kościele) człowieka. Nie próbuje jednak proponować jej ograniczenia. Wykazuje natomiast bezradność wobec egzystencjalnych potęg nas rozrywających, których Światłość nie jest w stanie złagodzić, by zawrócić człowieka i świat z drogi ku apokalipsie.

Ten fundamentalny, a nierozwiązywalny problem nurtował również Jana Pawła II, który był śmielszy w jego drażnieniu. We wspomnianym wywiadzie na pytanie: *Czy mamy tu do czynienia z jakąś „bezradnością Bożą”?* - odpowiada: „Owszem, można powiedzieć, że Bóg jest «bezradny» wobec ludzkiej wolności... Miłością pragnie niejako **usprawiedliwić się** (podkreślenie WŁ) wobec dziejów człowieka tak głęboko naładowanych cierpieniem”.

Tymczasem wielu polskich „pasterzy” jest znacznie mniej „bezradnych” niż dwaj ostatni pontifexi i znacznie mniej pokornych w tłumaczeniu przyczyn udruk w naszym kraju. Benedykt XVI mówi o dramatach w skali krajów, kontynentów oraz świata i ani razu nie wymienia zakłęcia „wrogowie Kościoła”. A prominentni „pasterze” nad Wisłą bez większych skrępowań głoszą z ambon: a to, że nasza obecna władza jest pozbawiona wartości i zasad moralnych (niedoszły ordynariusz

polowy), a to, że nami rządzą bandyci, że były prezydent to oszust, zaś jego małżonka to czarownica (szef tych mediów, które sam nazywa „jedynym prawdziwym głosem katolickim w polskich domach”), a to, że „wrogowie religii i Pana Boga oskarżają kapłanów o grzech nieczystości”, choć niektórym udowodnił to sąd lub Watykan (te same media), a to, że „szuka poklasku dla samego siebie” zasłużony duszpasterz akademicki, dominikanin, który swoim listem do nuncjusza próbuje zwrócić uwagę na palące problemy polskiego Kościoła (reakcja arcybiskupa, przewodniczącego Episkopatu). Lista podobnych i jeszcze mocniejszych głosów z „okopów św. Trójcy” nie ma końca.

Czy jest nadzieja, że nowy nuncjusz, który w liście dominikanina dostrzega „ducha bardzo konstruktywnego”, zdoła coś zmienić w polskim skansenie Kościoła powszechnego? Na razie nic na to nie wskazuje.

Autor jest znanym, niezależnym publicystą.

Michał HOROSZEWICZ

O TEMATACH RELIGIJNYCH Z DYSTANSU (Próba zarysu)

*Granica pomiędzy wzniosłym i śmiesznym, jest tutaj wciąż zmienna: to, co jednemu wyda się zabawne, dla drugiego może być źródłem poważnego nastroju; to, co jednych straszy, drugich bawi.
(tak o różnych ujęciach obrazu zaświatów*

Jan St. Bystron, *Komizm* 1939).

Poruszanie „z zewnątrz” jakiegoś tematu religijnego może powodować dezaprobatę, wręcz sprzeciw – nawet gwałtowny – ze strony wyznawców danej religii (można wspomnieć o prawdziwie globalnym sprzeciwie świata islamu na odnoszące się do Mahometa rysunki żartobliwo-satyryczne zamieszczone w prasie duńskiej).

W europreszłości krytycznie (ale chyba dość rzadko) odnoszono się do postaci religijnych w ścisłym tego rozumieniu; nader często natomiast – w słowie i w rysunku – do chrześcijańskich postaci kościelnych jak papież, biskup, ksiądz, zakonnik.

Można uznać, że takie żarty czy też dociekania naukowe bądź popularyzacyjno-publicystyczne będą uchodziły w jednym kręgu kulturowym za najzupełniej dopuszczalne i oczywiste, niemal za banalne; w innym natomiast kręgu zostaną uznane za wysoce niewłaściwe, wręcz za niedopuszczalne.

Tu przedłożono kilka przykładów – niekiedy zapewne drastycznych dla osób religijnie zorientowanych.

SAKRALIZACJA KOŚCIOŁA

Można zastanawiać się, jak w drugim tysiącleciu poczęła kształtować się kościelna tendencja do samosakralizacji, a właściwie do autodeifikacji. To widać na podstawie tytułu biskupa Rzymu jako „zastępcy Chrystusa”. Wedle oksfordzkiego leksykonu Kościoła chrześcijańskiego¹ tytuł ten datujący się z VIII w., począwszy od XIII w. wypierał starszy tytuł „zastępca św. Piotra”. W papieskim roczniku na rok 1914 podano tytuły papieskie: „*sommo pontefice, successore di S. Pietro*” (najwyższy papież/kapłan, następca św. Piotra) – wszakże bez wzmianki o zastępstwie, która występuje tam w każdym razie już od 1966 r.: „*vicario di Gesù Cristo, successore del Principe degli Apostoli*”. Pozostaje to bez zmian dla 1978 r. (nie dysponuję późniejszymi rocznikami).

Tak więc z zastępcy św. Piotra papież stał się zastępcą Jezusa Chrystusa i następcą Księcia Apostołów (to znaczy Piotra)... Można byłoby też wskazać na zapisy mniej więcej z połowy XIX w. w rodzaju: „gdy papież rozważa, to Bóg w nim myśli” – i oczywiście dołączając dogmat o nieomyślności papieskiej z 1870 r.

Natomiast w wydawanej przez Katolicki Uniwersytet Lubelski monumentalnej (choćby z niuniknionymi uchybieniami) Encyklopedii Katolickiej, w tomie XIV hasło „papież” przynosi szczególną zmianę: papież to „widzialny zastępca Chrystusa w Kościele, następca na urzędzie prymacjalnym Piotra Apostoła”.² A więc wprowadzono nie istniejące w roczniku papieskim na 1978 r. zaznaczenie „widzialności „ (co można chyba pojmować w wymiarach konkretności ziemskiej) oraz ograniczenie strefy owego zastępstwa do samego Kościoła (czyli także do wymiarów konkretności ziemskiej).

Wolno zatem domniemywać, że Kościół ustanawiał się jak gdyby „młodszym udziałowcem” religijnej boskości. Czy w ten sposób przyczyniał się do wyznaczania zapór – nie do przekroczenia przed ówczesnymi, a przede wszystkim przed przyszłymi krytykami?

Oczywiście, Kościół może poprzestawać na czy to powierzchownej, czy też pogłębionej wierze swych wiernych w prawowitość i zasadność takich posunięć – jednakże nie może racjonalnie sprzeciwiać się próbom ustalenia zarówno genezy podobnej autodeifikacji Kościoła, jak też przebiegu późniejszego jej kształtowania się.

PROBLEM DZIEWORÓDZTWA

Wymieniona Encyklopedia Katolicka przedstawia „dziewictwo Maryi”³ w zawężonym ujęciu kościelnym (właściwie: watykańsko-kościelnym) – bez jakiegokolwiek próby uwzględnienia optyki religioznawczej. A przecież religioznawca Mircea Eliade⁴ zapisuje: w ogłoszonym na Soborze Efeskim (431) dogmacie „odwiecznego dziewictwa Maryi(...) możemy zobaczyć proces asymilacji i rewaloryzacji archaicznej idei religijnej powszechnie (!) występującej. W istocie teologia Maryi przejmuje i udoskonala prastare i śródziemnomorskie koncepcje patogenezy, zdolności samozapłodnienia Wielkich Bogiń”.

Wyraziście wskazuje: „Teologia maryjna stanowi transfigurację najstarszego i najbardziej znaczącego hołdu, jaki od prehistorii składano religijnej tajemnicy kobiecości”.

Religioznawca-komparatysta Joseph Campbell w tomie o mitologii orientalnej sygnalizuje legendy o dziewiczych narodzinach istniejące w mitologiach: sumeryjskiej, egipskiej, indyjskiej i chińskiej (zresztą także w mitologii azteckiej).

W tomie o mitologii zachodniej stwierdza, że w jej płaszczyźnie narodziny z dziewicy należy rozważać jako mityczny motyw chrześcijańskiej puścizny perskiej lub greckiej, lecz nie hebrajskiej. Wreszcie w tomie o mitologii pierwotnej⁵ podkreśla potrzebę dociekań: czy takie tematy mitologiczne jak śmierć i zmartwychwstanie, narodziny z dziewicy, stworzenie z nicości, należy racjonalnie porzucić jako zwykle ślady niewiedzy (zabobony), czy też – przeciwnie – winny one być zinterpretowane jako oddające wartości spoza zdolności rozumu (symbole transcendentne); ponadto: czy jako rezultaty spontanicznych działań psychiki pojawiły się one niezależnie w różnych rejonach globu (teorie równoległego rozwoju), czy też jako wytwory określonych osób i w określonym czasie musiały rozpowszechnić się poprzez wczesne migracje lub poprzez późniejsze kontakty handlowe (teorie dyfuzji).

Wspomniany leksykon oksfordzki w hasle: „Dziewicze narodziny Chrystusa” podaje: „We wczesnym chrześcijaństwie fakt ten kwestionowało tylko kilka sekt heretyckich (psilantropowie, adopcjoniści).

Jednakże w ciągu ostatnich stu lat (a więc 1850–1950, uw. MH) kwestionowali go pewni teologowie liberalni, żywiąc ogólną podejrzliwość do wszelkiej cudowności, także w oparciu o przekonanie, że w Septuagincie Iz 7, 14 mylne oddanie terminu hebrajskiego dało początek legendy, a przynajmniej zachęciło do jej powstawania; brak jest odniesienia do dziewiczych narodzin w innych księgach Nowego Testamentu⁶. Pośrednio wiadomo, że także w religioznawstwie francuskim istniały wzmianki o niepoprawnym przełożeniu terminu hebrajskiego w Księdze Izajasza (miał on odnosić się do „młodej kobiety”, nie zaś do „dziewicy”

W religioznawstwie nie brak zatem sygnałów o istnieniu tematu narodzin z dziewicy w różnych religiach, zwłaszcza azjatyckich. W obrębie chrześcijaństwa temat ten był też kwestionowany przez różnych teologów. Wolno uznać, że tego rodzaju rozważania żadną miarą nie powinny uchodzić za niedopuszczalną ingerencję w obszar określonej wiary religijnej (chrześcijaństwa – ale chyba specyficznie katolicyzmu).

Warto wspomnieć, że usunięty z zakonu jezuitów Andrzej Miksz wśród postulatów wysuwanych do polskiego Kościoła katolickiego wymienił: akceptacja krytyki i samokrytyki jako ważnego źródła samonaprawy wspólnoty, samokrytycyzm wobec własnej trafności interpretacji prawdy Objawionej w odniesieniu do bieżących wydarzeń⁷.

Po jakimś mariolatrycznym wystąpieniu prymasa Wyszyńskiego (który, co warto przypomnieć miał nowatorsko zdecydować o polskiej pisowni „Maryja” dla Madonny), w kularach Soboru Watykańskiego II pewien biskup afrykański powiedział swemu polskiemu koledze: „Wasz kardynał jest pobożny, bardzo pobożny. Chciałby widzieć Madonnę w Trójcy Świętej, ale nie jako czwartą tam osobę, lecz jako drugą – po Bogu” (to wedle dziennika „Le Monde” lub „La Croix”) Warto zasignalizować, że wedle badań socjologa Józefa Baniaka – gimnazjaliści katechizowani w szkole potrafiały zaliczać do trójcy Świętej właśnie Madonnę, także Józefa – cieślę, a nawet Jana Pawła II⁸.

ŚWIĘTOŚCI RÓŻNIE WIDZIANE

Granica między żartobliwym ujęciem tematu religijnego a jego pojmowaniem przez stronę wierzącą jako „nieakceptowalność” może okazywać się niełatwa do przeprowadzenia. Przykładowo przytaczam (zasadniczo „z pamięci” – mim o wszystko jeszcze dziennikarskiej) kilka rysunków.

Francuska karykaturzystka Br'etecher (chyba Anne) w latach siedemdziesiątych zaprezentowała dwa rysunki – bodaj w „Le Nouvel Observateur” (nie pamiętam: czy ogłoszono je równocześnie jako niewątpliwie złęczone – czy też oddzielnie). Na niebie gwiazda – kometa, w głębi trzej królowie już czekają, Józef – cieśla zdenerwowany, ze stajenki wychyla się położna: „Gratuluj! Bliźniaki...” Na następnym: wnętrze stajenki, w odrzwiach Józef Cieśla raczej zaskoczony, w żłobku dwa niemowlaki: jeden z czarną opaską na oku na wzór dobrze podówczas znanego generała izraelskiego Dajana, drugi w arafatce...

Osobiście uważam, że oba rysunki Bretcher są żartobliwym przetworzeniem „opowiadki stajenkowej”, a wprowadzenie symboliki Dajanowo-Arafatowej może uchodzić za wskazanie potrzeby politycznego pojednania izraelsko-palestyńskiego.

Na okładce francuskiego leksykonu słów języka potocznego wywodzących się z religii rysunek trzech kapłanów splepanych w zajądłych rękoczynach – fruwa mitra biskupia, padają okrzyki „ty heretyku ... ty idolatriuszu ... wy apostaci”, aż góry spoglądający na to Stwórca z politowaniem stuka się w czoło⁹.

Zapewne w środowiskach niechętnie spoglądających na rzekomą wszechwładzę jezuitów powstał żart o Bogu, który zapragnął mieć osobistego sekretarza spośród świętych na wyżynach i ogłosił zgłaszanie kandydatur do określonej daty. Ale święci uznali, że najwłaściwsza będzie osoba Piotra Apostoła – nikt inny nie będzie więc występował. Wszakże tuż przed terminem nadszedł, kulejąc, Ignacy Loyola i zgłosił swe imię. Oburzenie świętych przerodziło się w zaskoczenie: Bóg bowiem wybrał właśnie Loyolę. Klucznik Niebieski dał wyraz swego rozczarowania przed Najwyższym, który – w zakłopotaniu kartkując wniosek Loyolowy – wyjaśnił: „ Rozumiem cię, Piotrze, ale zechciej pojąć: to inwalida wojenny, a nade wszystko polecony przez jezuitów...

Na firmamencie widoczna mała Ziemia z zarysem kontynentów; ziemski pojazd kosmiczny wylądował na odległej planecie, na której właśnie przebiega scena quasi – rajską z tamtejszymi Adamem, Ewą i wężem-kusicielem.

Wysiadający kosmonauta woła rozpaczliwie do owej Ewy zamierzającej ugryźć tamtejsze jabłko: „Panienko! Panienko! Proszę tego nie robić”.

Jak ujmować te dwa rysunki oraz żarcik bosko-jezuicki? A może należy docenić swoiście tam narysowaną „kosmiczną uniwersalność mityczną” grzechu uchodzącego za pierworodny ... Zresztą warto wskazać, że w początkowych latach sześćdziesiątych jakieś belgijskie pismo katolickie zastanawiało się: czy wysoko zorganizowane byty człowieko-podobne, napotkane kiedyś – gdzieś w kosmosie, okażą się dla chrześcijaństwa obciążone dziedziczną „zmazą pierworodną”.

PAPIEŻ I KAPŁANI

Z okazji paryskiego Kongresu Wolnej Myśli Międzynarodowej (4-7 IX 1905) wydano antyklerykalny rysunek hieratycznego i utiarowionego Piusa X na tronie z emblematyką „skrzyżowanych kluczy” – bez jakiegokolwiek próby skarykaturowania; zamysł antyklerykalny wyrażał się we wprowadzeniu u dołu czarnego kruka (we Francji zwyczajowo symbolizującego „klechę”) i nade wszystko w tytule „La derniere Idole” – ostatni idol¹⁰.

W latach siedemdziesiątych londyński tygodnik „Catholic Herald” zamieszczał na stronie pierwszej niewielkie rysunki humorysty Johna Ryana będące żartobliwym mino-komentarzem do jakiegoś aktualnego wydarzenia kościelnego. Po pierwszej pielgrzymce ojczyźnianej Jana Pawła II przedstawiono wielką spiżarnię watykańską (za oknem widoczna kopuła bazyliki Piotrowej), główny magazynier w rozterce: „Z Polski przywiózł dwie skrzynie chleba, trzy pętle kielbas, pudło wódki... gdzie ja to wszystko pomieszczyć?” I oto opis tego żartobliwego rysunku, bez jego reprodukcji, z zaznaczeniem londyńskiego pierwodruku, zawarty w moim artykule w tygodniku „Argumenty”, został bezapelacyjnie skreślony przez Urząd Kontroli Prasy: nie pomogło przywoływanie katolickiego tygodnika londyńskiego.

Dwukrotnie natomiast – bez ingerencji z ulicy Mysiej – przytaczałem wypowiedź amerykańskiego teologa-jezuita, który na zakończenie swych wykładów seminaryjnych zwykł wskazywać, że Kościół katolicki przestanie wreszcie być rasistowski i mizoginiczny, gdy na tronie papieskim zasiądzie Afrykanka w ciąży.

Oczywiście warto też uwzględnić sztandarowe hasło amerykańskich feministek z ostatniego dwudziestolecia XX w.: „God, she is black”, co po polsku da się wyrazić nawet krócej: „Bóg – ona jest czarna”

Na przełomie XIX-XX w. republikańskie pismo antyklerykalne „La Lanterne” zamieściło na okładce rysunek prawdziwie upiornego księdza z rozwianymi szatami niczym skrzydła nietoperza, szponiastymi rękoma obejmującego bazylikę na paryskim Montmartre (wzniesioną „ekspiacyjnie” za Komunę Paryską) – i z przypomnieniem zawołania Gambetty „La clericalisme, voila l'ennemi” (= klerykalizm, oto wróg)¹¹.

W 1947 r. (lub w roku następnym) jeszcze łódzki tygodnik „Kuźnica” cało-stronicowo zamieścił bodaj sześć rysunków, przedrukowanych z satyrycznego pisma antyklerykalnego „Don Basilio”. Numer ten został częściowo wycofany ze sprzedaży kioskowej, a „Głos Ludu” – organ Polskiej Partii Robotniczej – ostro zganił redakcję „Kuźnicy”. A przecież „Don Basilio” ukazywał się najnormalniej w Rzymie, w cieniu Watykanu, dysponującego państwowo swoistą ochroną¹²; tam nie wywoływał szczególnych emocji, podczas gdy u nas wystąpiła państwowa orientacja „anty-Basilio”.

POLSKA NADWRAŻLIWOŚĆ

Wydaje się, że u nas wciąż strefę religijno-kościelną związaną z katolicyzmem uznaje się za sakralną i „nienaruszalną”, czy po prostu „niedostępną” dla postronnych, zwłaszcza tych „spoza”. Może nawet nie tylko „wciąż”, ale w ostatnich latach „coraz bardziej” – w miarę jak radykalizują się różne wystąpienia: właśnie tak!

Kościół katolicki (chyba tylko ten) może uznawać siebie za „instytucję bosko-człowieczą”, przez co zapewne wydaje mu się, że ustanawia nieprzekraczalną barierę dla pozawyznaniowego wglądu w jego istotę; jednakże chyba dla wszystkich „spoza wyznaniowości” jest wytworem ludzkich aspiracji, dokonań, przemyśleń, konstrukcji pojęciowych... Jego dogmaty mogą podlegać oczywiście docieklivosti (wolnej – co zrozumiałe – od napastliwości czy arogancji): jak one wyłaniały się: jak przebiegały międzyreligijne przenikania (zapożyczenia) różnych mitów; czy mogło dochodzić do zniekształceń lub wyolbrzymień pewnych przekazów, może wręcz do ich falsyfikacji „dla dobra religii” (znamiennym przykładem byłaby sprawa „donacji Konstantyna”, którą papieństwo posługiwało się dla „uprawomocnienia” swego ziemskiego władztwa w VII-XIX w.)¹³

Warto zasygnalizować kilka znaczących wypowiedzi z ostatnich miesięcy 2010 r. umożliwiających zdiagnozowanie stanu Kościoła polskiego w jego zawężeniach, niedostatkach i może wręcz zagubie-

niach – a wpływających na kształtowanie postawy nadwrażliwości wobec wypowiedzi „z dystansu” na tematy religijno-kościelne.

I tak politolog Aleksander Smolar wskazuje: „Dziedzictwem czasu zniewolenia był autorytet Kościoła instytucjonalnego, który niejako w zastępstwie reprezentował państwo”, wszakże „nadzwyczajność tego okresu się kończy, bo państwo jest wolne, a wspólnota polityczna nie potrzebuje ani kagańca, ani opiekunów prawnych czy bezprawnych”, natomiast „szykuje się konfrontacja w kwestiach obyczajowych, i to Kościół do niej zaprasza, gdy jego przedstawiciel przy okazji «in vitro» mówi o ekskomunie”.¹⁴ Swoicie dopełniając brzmi opinia teologa-jezuity Wacława Oszajcy: „W Polskim Kościele stoimy przed trzęsieniem ziemi. (...) Kościół staje przed dyskusją o moralności chrześcijańskiej na temat <in vitro>”.¹⁵

Socjolog Janusz A. Majcherek przestrzega: większość kapłanów dominującej w Polsce religii „każdą próbę ograniczenia przejawów i skutków tej dominacji traktuje jako zamach na prawo katolików i ich wspólnoty wyznaniowej. Kwestionowanie własnej dominacji uważają za dyskryminację”.¹⁶

Duszpasterz – dominikanin Ludwik Wiśniewski w liście do nuncjusza¹⁷ zawarł bardzo surową ocenę stanu Kościoła polskiego: podziały w episkopacie, rozbitcia w duchowieństwie; podkreślił m.in. „nieumiejętność komunikowania się ze zmieniającym się światem(...) jesteśmy ciągle na etapie «sloganu religijnego» (...) najczęściej wygłaszamy oklepane «święte frazesy» – tak więc przed Kościołem stoi praca nad językiem, jakim posługuje się wobec wiernych. Zbliżone wydają się opinie historyka idei Marcina Króla¹⁸: „Kościół jest w poważnym kryzysie intelektualnym (...) nie umie nawiązywać kontaktu z rzeczywistością”; dość szybko upada jego autorytet, jego zalecenia „są coraz rzadziej respektowane (...) bardzo dotkliwy jest anachronizm środków, języka, jakim posługuje się”.

Czy autorytatywni ludzie polskiego Kościoła katolickiego będą potrafili wyzbyć się nadwrażliwości w kwestiach dotyczących wiary religijnej lub Kościoła, gdy zetkną się z różnymi krytykami, polemikami, także prześmiewczością – niejako na miarę sytuacji w różnych katolicyzmach zachodnio-europejskich? Czy dojdzie do podwyższenia bardzo teraz niziutkiego (może niemal nieistniejącego) „pułapu katolickiej dopuszczalności” dla żartu i satyry odnoszących się do strefy religijno-kościelnej?

Kościół katolicki traci u nas aurę nietykalności i specyficznej „ponadczłowieczeńskości”; zapewne – a raczej nieuchronnie – przyjdzie mu pogodzić się z możliwością krytycznego spoglądania „z zewnątrz” na różne elementy zarówno jego instytucji hierarchicznej, jak też nawet wiary religijnej. Teorie o bosko-ludzkim ustanowieniu Kościoła nie mogą umożliwiać mu konstruowania nazbyt wygodnych parawanów czy barier. Wydaje się, że stopniowo dojdzie do jakiejś jego „normalizacji” na wzór zachodni.

Autor jest cenionym historykiem Kościoła i wybitnym publicystą od wielu lat stałym współpracownikiem naszego czasopisma.

Przypisy

¹ „The Oxford Dictionary of the Christian Church”, F.L. Cross (red.), London 1958, d. s. 1417.

² „Annuario Pontificio per l'anno 1914”, Roma 1914, s. 31; „... per l'anno 1966”, Città del Vaticano 1966, s. 1 „z gwiazdką”; „Encyklopedia katolicka”, Lublin od 1973, t. 11 (2010), kol. 1302.

³ „Encyklopedia...”, wyd. cyt., t. 4, kol. 612-3.

⁴ Mircea Eliade: „Historia wierzeń i idei religijnych”, tłum. Stanisław Tokarski, t. II, Warszawa 1994, s. 267.

⁵ Joseph Campbell: seria „The Masks of God” (Harmondsworth, Anglia) – „Oriental Mythology”, 1977, s. 39-40, 98, 330, 384; „Occidental Mythology”, 1976, s. 336; „Primitive Mythology”, 1976, s. 15-16.

⁶ „The Virgin Birth of Christ” – w „The Oxford Dictionary...”, wyd. cyt., s. 1425.

⁷ Andrzej Miksz: „Kościół jako krzyż” – w miesięczniku „Więź” X 2010, s. 27-39 (tu s. 33).

⁸ Joanna Podgórska: „Samotność katechetów” – w tygodniku „Polityka” 11 XII 2010, s. 34-38 (t. s. 37).

⁹ Dominique Rouaix rysował dla Presses Universitaires du Mirail – okładka książki Patrick Cabanel: „Les mots de la religion dans l'Europe contemporaine”, Toulouse-Le Mirail 2001.

¹⁰ Duoselle, wyd. cyt., s. 184.

OTWARTY ŚWIAT

Wśród wielu zjawisk charakteryzujących przemiany współczesnego świata, często definiowanych pojęciem globalizacji, język angielski, jego rola i skala rozprzestrzenienia, są świadectwem szczególnie wyrazistym w panoramie tych przemian.

Świadectwo to opisuje i wyjaśnia tekst doc. dr Józefa J. KOWALEWSKIEGO, anglisty, który otwiera cykl kilku kolejnych tekstów ukazujących różne zjawiska i procesy składające się na współczesny, coraz bardziej OTWARTY ŚWIAT.

Redakcja

Józef J. KOWALEWSKI

Językiem angielskim przez świat

Na przełomie lat osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych XX wieku dokonały się w Europie i na świecie wielkie transformacje geopolityczne, które wywarły istotny wpływ na rolę i funkcję języków obcych w krajach, które rozpoczęły budowę państwa demokratycznych, otwartych na wszechstronną współpracę międzynarodową.¹ W przypadku Polski, znaczenie znajomości języków obcych, a szczególnie języka angielskiego, wiązało się z rosnącą rolą naszego kraju, w tym jego sił zbrojnych, w wielu misjach pokojowych ONZ, a później, po przystąpieniu Polski do NATO, w misjach tej euroatlantyckiej struktury wojskowo-politycznej.

Język angielski, jako *vehiculum* komunikacyjne, od lat stanowił podstawowe narzędzie porozumiewania się na forum międzynarodowych konferencji naukowych. Przystąpienie Polski do wspomnianych już struktur, wybitnie wzmocnione akcesją do Unii Europejskiej nadało językowi angielskiemu rolę szczególną.²

1.

Zaistniała też, w związku z tym, konieczność przeobrażenia systemu kształcenia językowego w szkołach i wyższych uczelniach. Język angielski bowiem okazał się, w porównaniu z innymi językami, językiem najbardziej przydatnym. I to z wielu powodów.

Po pierwsze, z lingwistycznego punktu widzenia, język angielski – jako język niefleksyjny – posiada dość proste struktury i jest łatwiejszy w nauczaniu zwłaszcza na poziomie początkowym i średnio zaawansowanym. Po drugie, według ocen lingwistów, na całym świecie, językiem angielskim posługuje się ponad miliard ludzi – biorąc razem rodzimych użytkowników („*native speakers*”), jak i tych, dla których jest to język drugi („*second language*”), jak i język obcy („*foreign language*”). Po trzecie, w Polsce istnieje pewna tradycja uczenia się języka angielskiego – zwłaszcza u ludzi reprezentujących określone grupy profesjonalne (np. naukowców, lekarzy, ekonomistów i inżynierów) i często przekazywana jest z pokolenia na pokolenie. Również, od początku lat sześćdziesiątych, wykształciła się w Polsce specyficzna grupa, którą można by określić jako „emigrantów zarobkowych” wyjeżdżających do pracy w Stanach Zjednoczonych, Wielkiej Brytanii, Kanady i Australii, dla których nauka języka angielskiego traktowana była jako jeden z czynników prowadzących do poprawy statusu materialnego.

Zasadniczo, oprócz konieczności stworzenia efektywnych systemów nauczania tzw. *General English* (angielski do celów ogólnych), ze względu na rosnące zapotrzebowanie rozmaitych grup zawodowych zaistniała potrzeba by opracować spójne i efektywne systemy kształcenia obejmujące *ESP English for Special Purposes* (angielski do celów specjalnych) i jego dwie sub-kategorie: *EOP English for Occupational Purposes* (angielski do celów zawodowych) i *EAP English for Academic Purposes* (angielski do celów akademickich) – umowna klasyfikacja zaproponowana przez Mc Donough (1982).³ Mając na względzie powyższy podział, w Polsce przełomu stulecia, realizowane były w ośrodkach akademickich oraz ośrodkach kształcenia kursowego osiem profili dydaktycznych.

Uwzględniając wiele różnych czynników, w latach 90. dokonano w ośrodkach akademickich i centrach kształcenia kursowego określonych przewartościowań i przedsięwzięć w zakresie kształcenia językowego. Przybierały niekiedy one formę mniej lub więcej zintensyfikowanego procesu kształcenia kursowego. Jednakże, w początkowym okresie, zinstytucjonalizowane działania odbywały się metodą „prób i błędów” poprzedziły one wypracowanie koherentnego systemu kształcenia językowego.

2.

Język angielski, co warto przypominać, przeszedł w ciągu ostatnich ośmiuset lat przeszedł kilka istotnych etapów. Początkowo, był narzędziem porozumiewania się w obrębie anglosaskich grup etnicznych zamieszkujących wyspy brytyjskie obok ludności pochodzenia celtyckiego. W następnym etapie, wyparł on języki celtyckie stając się wspólnym językiem dla Anglii, Szkocji, Walii i Irlandii. Kolejno, jako język Imperium Brytyjskiego stał się podstawowym narzędziem porozumiewania się w systemie kolonialnym – w krajach Afryki i Azji, Ameryki Północnej i Australazji. Po upadku tego systemu, angielski funkcjonuje nadal jako oficjalny język krajów Commonwealth'u.

Jednakże, najbardziej istotną rolę zaczął angielski odgrywać po drugiej wojnie światowej – szczególnie jako oficjalny język Organizacji Narodów Zjednoczonych, organizacji i instytucji międzyrządowych, służb dyplomatycznych i konsularnych, międzynarodowych konferencji naukowych i technicznych, biznesu, itd. Pokonując bariery geograficzne, angielski stał się narzędziem komunikacji internetniczej⁴ uwzględniającym pluralizm strategii i stylów komunikacyjnych, wynikających, w przypadku z pierwszego – z poziomu kompetencji komunikacyjnej, a w przypadku drugiego, z transferu elementów socjo-kulturowych języka pierwszego do języka drugiego (angielskiego).

W dwudziestym wieku, stało się faktem, to, że angielski jest językiem międzynarodowym, ponieważ stanowi najbardziej powszechne medium komunikacji na całym świecie ze względu zarówno na znaczną liczbę rodzimych użytkowników języka jak i ich rozmieszczenie we wszystkich zakątkach kuli ziemskiej.⁵

O obecnym stanie zdecydowały dwa podstawowe czynniki:

1. Brytyjska polityka imperialna w dziewiętnastym wieku;
2. Ekspansja ekonomiczna USA w dwudziestym wieku⁶.

C. Brumfit (1982) twierdzi, że połączenie wpływów politycznych i czynnika ekspansji technologicznej we wspomnianych dwóch okresach dało językowi angielskiemu przewagę nad pozostałymi językami imperiów kolonialnych, tj. francuskim i hiszpańskim, mimo iż w określonych obszarach geograficznych, wpływ ten był ograniczony przez takie języki jak rosyjski, chiński i niektóre formy języka arabskiego.⁷ Ponadto, autor utrzymuje, że język, który może być identyfikowany z największą potęgą imperialną XIX wieku i/lub z największą potęgą kapitalistyczną XX wieku, będzie nieuchronnie postrzegany jako instrument kulturowej i ideologicznej dominacji w tych częściach świata, gdzie sytuacja językowa jest niestabilna i wymaga normatywnych uregulowań. Dotyczy to, w szczególności krajów gdzie występuje znaczna liczba języków rozmaitych grup etnicznych w obrębie jednego kraju. Przykładem takiego kraju są Indie, które kierując się względami pragmatycznymi, przyjęły język angielski, tzn. jego odmianę określaną terminem *Indian English (IE)*⁸ (język byłego kolonizatora) jako język urzędowy.

Obserwując długotrwały proces, w trakcie którego zmieniło się znaczenie języka angielskiego można zauważyć, że język ten, z języka etnicznego określonych szczepów (tj. grup anglosaskich), a później państwowego, stał się językiem międzynarodowym, globalnym – określanego, jako *lingua global lub glottoglobal* (Riggs, 1998:15), ze względu na szereg specyficznych czynników omówionych w przedstawionych rozważaniach. Ponadto, dostrzegając zasięg użycia języka angielskiego na całym świecie, w dyskusji na Międzynarodowym Kongresie Socjologów w Montrealu (lipiec 1998), dla języka angielskiego podano nawet propozycję terminu „język planetarny”.

Znaczenie angielskiego w relacjach międzynarodowych jest powiązane ze zjawiskiem globalizacji, a silnie którego można w szczególny sposób zaobserwować od początku dekady lat 90. Teheranian podaje następującą roboczą definicję tego zjawiska⁹:

1. ...„Globalizacja jest procesem, który trwa od ostatnich 5000 lat, lecz został szczególnie przyspieszony po upadku Związku Sowieckiego w roku 1991. 1. Elementy globalizacji obejmują przepływ przez granice kapitału, siły roboczej, zarządzania, informacji, obrazów i danych; 2. Główny napęd globalizacji stanowią ponadnarodowe korporacje (TNCs), ponadnarodowe instytucje i organizacje medialne (TMCs), organizacje międzyrządowe (IGOs), organizacje pozarządowe (NGOs) i alternatywne organizacje rządowe (AGOs).

Z humanistycznego punktu widzenia, globalizacja powoduje zarówno pozytywne jak i negatywne konsekwencje; oznacza to zarówno zwiększenie jak i zmniejszenie różnic między krajami, wzmocnienie lub osłabienie wpływów politycznych oraz homogenizację lub pluralizm świadomości kulturowej”...¹⁰

Uwzględniając powyższe uwarunkowania, Chase-Dunn¹⁰ podaje pięć podstawowych wymiarów zjawiska globalizacji:

- wymiar ekonomiczny;
- wymiar polityczny;
- wspólne ograniczenia ekologiczne;
- wartości i instytucje kultury;
- komunikacyjny wymiar globalizacji.

3.

W ramach niniejszego tekstu, skoncentruję się na roli języka angielskiego, jaką odgrywa on w trzech wymiarach procesu globalizacji, tj. politycznym, wartościach i instytucjach kultury oraz komunikacyjnym.

Jak wspomniałem, po roku 1945, język angielski zaczął przejmować rolę języka wiodącego w dyplomacji i polityce, między innymi, dzięki roli, jaką mu wyznaczono w ONZ i NATO, redukując znaczenie języka francuskiego – dominującego języka sfer dyplomatycznych XIX stulecia i przełomu wieku XIX i XX do okresu przed II wojną światową. Do tej sytuacji przyczynił się również fakt, że język angielski został powszechnie wdrożony wśród organizacji pozarządowych, stał się językiem międzynarodowych misji mediacyjnych, misji humanitarnych, co ostatecznie przesądziło o jego roli i miejscu w relacjach międzynarodowych.

Istotnym czynnikiem politycznym, który po akcesji Polski do Unii Europejskiej wpłynął na przeobrażenia systemu kształcenia językowego w ośrodkach akademickich było przyjęcie przez nasz kraj tzw. Konwencji Bolońskiej. Zasadnicze znaczenie dla szkolnictwa wyższego miało przyjęcie trzystopniowego modelu studiów wyższych (tj. licencjackich, magisterskich i doktorskich); jednakże, ta konwencja określa również poziomy kompetencji językowej, którym powinni się wykazać absolwenci studiów. Mimo iż w od lat, w Polsce funkcjonowały syndykaty egzaminacyjne UCLES (University of Cambridge Local Examination Syndicate – język angielski), Instytut Goethego (język niemiecki) Instytut Francuski oraz inne (np. centra egzaminacyjne TOEFL). Pomimo faktu, że wspomnianym egzaminom poddawało się tysiące Polaków (głównie studentów), nie istniały instytucjonalne wymogi stawiane studentom przez uczelnie w zakresie certyfikatów międzynarodowych. Dopiero Konwencja Bolońska umożliwiła przyjęcie standardów ustanowionych przez Radę Europy w ramach Common European Framework of Reference for Languages¹¹, gdzie standardy wykonań językowych ilustruje przytoczona tabela 1.

Uczelnie wyższe w Polsce przyjęły, zatem, poziom B2 dla absolwentów uczelni krajowych po zakończeniu pełnego cyklu kształcenia. Wynika to zarówno z potrzeb posługiwania się językiem obcym w środowisku zawodowym, jak i związane to jest interakcjami w tym języku w relacjach interkulturowych i w sferze komunikacji interpersonalnej. Natomiast, w przypadku studentów ubiegających się o przywilej studiowania za granicą, są przez poszczególne uczelnie europejskie jasno określone wymogi co do kompetencji językowej i kształtują się zwykle na poziomie C1 lub C2.

4.

Zależności między społeczeństwem, jego językiem i kulturą od dawna stanowią przedmiot badań socjologii, kulturoznawstwa, lingwistyki i antropologii. Szczególny problem, który się nasuwa to ten czy występują pojęcia uniwersalne – niezależne od języka, czy też język narzuca nam określony szkielet pojęciowy na nasze myślenie, czego nie dostrzegamy¹². Dotyczy to również języka angielskiego i założyć można, że występuje określona nadrzędna „filozofia”, która stanowi wspólne spoiwo między językiem angielskim, społeczeństwami anglosaskimi i ich kulturami. Jednakże, niezależnie od tego, czy mamy do czynienia z

Tabela 1. Poziomy wykonań językowych przyjęte przez Radę Europy

L.P.	POZIOM	OPIS WYKONAŃ JĘZYKOWYCH
1.	A1	Rozumie i potrafi stosować codzienne wyrażenia i bardzo proste wypowiedzi mające na celu zaspokojenie konkretnych potrzeb typu. Potrafi przedstawić siebie i innych oraz pytać i odpowiadać na pytania o dane osobiste, takie jak, gdzie on mieszka, ludzi wie i to, co on/ona. Potrafi prowadzić prostą rozmowę pod warunkiem, że rozmówca mówi wolno, zrozumiale i jest gotowy do pomocy.
2.	A2	Potrafi zrozumieć pojedyncze zdania i często używane wyrażenia odnoszące się do obszarów najbardziej bezpośrednio znaczenie (np. bardzo osobistej i rodzinnej, zakupy, najbliższe otoczenie, praca). Potrafi porozumiewać się w prostych, codziennych zadaniach wymagających jedynie prostej i bezpośredniej wymiany informacji na tematy znane i typowe. Potrafi opisać za pomocą prostych środków swoje wykształcenie, swoje bezpośrednie otoczenie i wypowiadać się na tematy związane z niezbędnymi potrzebami.
3.	B1	Potrafi zrozumieć zasadnicze punkty jasnej standardowej dotyczą znanych jej spraw i zdarzeń typowych dla pracy, szkoły, czasu wolnego itd. Potrafi radzić sobie w większości sytuacji, jakie w czasie podróży w regionie, gdzie mówi się danym językiem. Potrafi tworzyć proste teksty na tematy z życia codziennego i dotyczące własnych zainteresowań. Potrafi opisywać doświadczenia, zdarzenia, nadzieje, marzenia i zamierzenia, krótko uzasadniając bądź wyjaśniając swoje opinie i plany.
4.	B2	Potrafi zrozumieć główne myśli w złożonych tekstach na tematy konkretne i abstrakcyjne, w tym dyskusję w swojej dziedzinie specjalizacji. Potrafi w stopniu znajomości języka komunikować się spontanicznie, tak że regularne kontakty z native speakerami są całkiem możliwe bez wysiłku dla żadnej ze stron. Potrafi formułować jasne, szczegółowe teksty na wiele tematów, wyrazić opinię na dany temat wykazując wady i zalety różnych rozwiązań.
5.	C1	Potrafi zrozumieć szeroką gamę długich i trudnych tekstów oraz zrozumieć ukryte znaczenie. Potrafi się wypowiadać płynnie, spontanicznie, bez większego trudu odnajdując właściwe sformułowania. Potrafi posługiwać się językiem skutecznie i swobodnie w życiu społecznym, akademickich i zawodowych. Potrafi formułować jasne, dobrze zbudowane, szczegółowe teksty na złożone tematy, sprawnie i właściwie posługując się regułami organizacji wypowiedzi, łącznikami i wewnętrzną spójnością dyskursu.
6.	C2	Może z łatwością zrozumieć praktycznie wszystko, co usłyszy lub przeczyta. Potrafi streszczać informacje pochodzące z różnych źródeł pisemnych i ustnych, tezy i wyjaśnienia w spójny sposób. Potrafi wypowiedzieć się spontanicznie, bardzo płynnie i precyzyjnie, subtelnie różnicując odcienie znaczeniowe nawet w sytuacjach najbardziej skomplikowanych.

Źródło: Common European Framework of Reference for Languages CEFR (1982)

Brytyjczykami, Amerykanami, Kanadyjczykami, Australijczykami i/lub innymi, w ich codziennych rutynowych wykonaniach językowych, będziemy mieli do czynienia z określoną specyfiką kulturowymi typową dla anglosaskiego obszaru językowego, co obejmuje zarówno słownictwo jak i frazeologię.

W trakcie procesów globalizacyjnych, wraz z rozprzestrzenianiem się języka angielskiego, wystąpiło zjawisko transferu kulturowego i technologicznego. Dotyczy to chociażby nawigacji, gdzie przejęto terminologię, normy, kulturę techniczną, a nawet etos i filozofię sportu (sięgając do tradycji barona Pierre de Coubertin) - z licznymi regułami np. „fair-play” i technicznymi określeniami „backhand”, „break”, „fight”, „foul” itd.

Objawy przejmowania od języka angielskiego elementów kultury anglosaskiego obszaru językowego do kultur rodzimych są różnie przyjmowane przez różne środowiska.

Jest znanym faktem to, że wiele słów zapożyczonych z języka angielskiego znalazło na stałe swoje miejsce w innych językach europejskich, chociażby we francuskim gdzie w powszechnym użyciu występują takie lek-

semy jak na przykład „party”, „weekend”, „disc-man”, pomimo instytucjonalnych uregulowań dotyczących ochrony języka francuskiego przed wpływem innych języków, co zostało wprowadzone w latach 70.¹³ Należy zwrócić uwagę, że każde z tych słów niesie za sobą określone uwarunkowania kulturowe. Z punktu widzenia antropologii kognitywnej, dwa z nich są związane z określonymi formami zachowań w społeczeństwach anglosaskich, trzecie stanowi natomiast termin dotyczący obiektu kultury materialnej.

Czy występuje, zatem, zjawisko globalizacji językowo-kulturowej? Do tej pory nie ma dowodów na istnienie takiego fenomenu; jednakże, nie jest to całkowicie wykluczone. **Język angielski – zarówno jako eksponent określonych wzorców socjokulturowych jak i nośnik informacji na temat innych kultur – obecny jest stale w procesach transferu informacji zarówno w komunikacji werbalnej jak i pozawerbalnej, realizowanych w bezpośrednich kontaktach międzyludzkich, poprzez tekst, media audiowizualne oraz elektroniczne.**

5.

W dyskusji na temat komunikacyjnego wymiaru globalizacji i roli języka angielskiego w tym względzie, należy przywołać profetyczną wizję Herberta McLuhana odnoszącą się do koncepcji „globalnej wioski” datującą z drugiej połowy lat 60. i jej spełnieniem, co, w najbardziej szczególny sposób, można zaobserwować na przełomie XX i XXI stulecia.

W procesie globalizacji (wymiar komunikacyjny), miało znaczenie stopniowe zwiększanie roli języka angielskiego w kontaktach międzynarodowych (w kategoriach geograficznych) i inter-etynicznych (w kategoriach socjokulturowych). Do tego zjawiska przyczyniło się coraz bardziej powszechne zastosowanie mediów elektronicznych.

Komunikacja za pomocą środków informatycznych w sieci WWW dała nauczycielowi potężne narzędzie zarówno dla prowadzenia procesu dydaktycznego, jak i zdobywania potrzebnych do tego procesu informacji. Narzędzie to w szeroki sposób stosowane jest obecnie do nauki języka angielskiego poprzez Internet i e-mail. Należy również zauważyć, że gwałtowny rozwój sieci WWW, wzrost liczby serwerów i liczby użytkowników doprowadził do powstania kolejnego rodzaju rejestru języka angielskiego określanego jako Internet English – żargonu będącego w powszechnym użyciu wśród użytkowników sieci WWW i obejmującego przede wszystkim typowe polecenia komputerowe, algorytmy działania i akronimy.

Proces globalizacji komunikacyjnej będzie trwał nadal i wszystko wskazuje na to, że w XXI wieku przeważająca część informacji będzie nadal przekazywana poprzez media elektroniczne w języku angielskim.

* * *

W ramach procesów globalizacyjnych, rozpowszechnienie języka angielskiego i uzyskanie przez niego obecnego statusu języka światowego miało wpływ na objęcie pozycji pierwszego języka obcego w Polsce. Dotyczy to okresu od początku lat 90. do przełomu stulecia i trwa nadal.

Przypisy

¹ Crystal, D. 1971:15.

² Doliński, D. 1999. NATO in Polish social perception – Overt and implicit hopes and fears. NATO Academic Forum – May 1999. NATO Office of Information & Press.

³ Mc Donough, J. 1984. *ESP in Perspective*

⁴ Scollon, R. & S. Scollon. 1979. *Narrative, Literacy and Face in Interethnic Communication*.

⁵ Brumfit, C. [w] Brumfit, C. (red.) (1982:1)

⁶ Ibidem.

⁷ Ibidem.

⁸ Mehrotra, R.R. [w] Brumfit, C. (1982:73)

⁹ Riggs, R.W. red., (1998:1)

¹⁰ Ibidem

¹¹ CEFR, Strasbourg, 2001.

¹² Crystal, D.1985:235

¹³ Za kadencji prezydenta Pompidou, wprowadzono zakaz posługiwania się tzw. „*franglais*” – odmianą francuskiego mocno „nafaszerowaną” anglojęzycznym słownictwem i frazeologią często używaną przez młode pokolenie Francuzów z lat 70 i 80.

Autor jest wykładowcą języka angielskiego w Szkole Wyższej im. Pawła Włodkowicza.

Z ROZMYŚLAŃ NIEPOKORNYCH

Antoni ŁOZIŃSKI

Myśli o Homerze

Tak! tak! tak! – potwierdzałem co chwila. Nasze myśli wznosiły się zgodnie aż do Parnasu, aż do sofoklesowskiej, refleksyjnej inwokacji:

O Zeusie, któż się z twą potęgą zmierzy?

Ciebie ni czasu odwieczne miesiące

Ni sen nie może wśród swoich obieży.

Ty, co Olimpu szczyty jaśniejące

Przez wieki dzierżysz promienny,

Równy w swej sile, niezmienny.

A wieczne prawo gniecie ziemi syny,

Że nikt żywota nie przejdzie bez winy.

Tłum. K. Morawski

Ja słuchałem, a mówił dr Jerzy Mańkowski z Instytutu Filologii Klasycznej Uniwersytetu Warszawskiego, gdy nagle, jak fałszywa nuta w mistrzowskim koncercie, padł w radio epitet: Homer – ślepy, nieznaną śpiewak. Działo się to pod koniec 1992 roku, niemal trzy millenia po pojawieniu się *Iliady*. Wiąc takie są nadal akademickie, obowiązujące mniemanie? Chciałbym tu zaproponować mniemanie odmienne.

Jerzy Łanowski, jeden z wybitnych znawców czasów i życia Homera, pisał: „Najstarszą z literatury Europy, grecką otwierają dwie olbrzymie epepeje homerowe, *Iliada* i *Odysea*. Są one w ogromnej mierze punktem wyjścia całego dalszego dorobku literackiego greckiego, są równocześnie i od razu szczytowymi osiągnięciami tego piśmiennictwa, wzorami gatunku na długie wieki i nie tylko dla Greków, bo łańcuch wielkich epików nawiązujących do homeryckiej tradycji nie zaczyna się dopiero od Wergilego i nie kończy bynajmniej na Mickiewiczu. Są nadto nie tylko arcydziełami, żeby tak powiedzieć, dla historii literatury, ale utworami, które po dziś dzień znajdują chętnych czytelników. Tematy,

mity i postacie *Iliady* i *Odysei* weszły na stałe w świadomość kulturalną dużej części ludzkości, są jednym z najtrwalszych dóbr kultury światowej. Gdy niemal każda ze znanych nam literatur ukazuje swe początki w skromnych, niewielkich całościach i utworach zaznaczonych nieporadnością twórców i niezgrabnością przetwarzającego się dla nowych, literackich potrzeb języka, początki uformowane ciężko i nieskładnie nawet tam, gdzie nawiązują się do piśmiennictwa innych, wcześniej i wyżej kulturalnie rozwiniętych krajów (jak np. w wychodzącej od wzorów greckich literaturze rzymskiej), tutaj napotykamy dzieła w pełni rozwinięte, nacechowane niepospolitym kunsztem poetyckim, ukazujące opanowanie techniki budowy wielkich całości, eposy spisane w bogatym i barwnym języku, rozporządzającym wielką skalą środków artystycznych, przeniknięte myślami i poglądami, które jakby prześcigały świat opisywany. To zaskoczenie i paradoks najstarszej literatury i jednej z najstarszych kultur Europy.²¹ (Dodać można, że telewizja nadała pod koniec 2009 r. film o *Iliadzie*, czym wkroczył Homer w wiek elektroniki.)

U Ignacego Wieniewskiego znajdujemy: „Na twórczości jońskiego poety, Homera, żyjącego prawdopodobnie w IX wieku przed Chrystusem, wybiła wyraziste piętno poprzedzająca go epoka dworskiej poezji aoidów. Jego oba poematy mają tak na wskroś dworski charakter, że podejrzewamy, iż on sam brał czasem do ręki forminę i recytował pewne epizody swej epepei na dworze jakiegoś możnowładcy jońskiego... Wszystko wskazuje na to, że poeta ten żył w Jonii małoazjatyckiej, gdzie poezja epiczna osiągnęła szczyty rozwoju... Bo w tych epepejach wszystko jest dworsko-rycerskie: nie tylko poeta i słuchacze,

ale cała tematyka, światopogląd, obyczajowość i styl życia... Językiem *Iliady* i *Odysei* nigdy żaden Grek nie mówił. Jest to język czysto literacki...²

Mając na uwadze te istotne fragmenty analiz literackich posłużymy się metodą falsyfikacji i sprowadzimy do niedorzeczności założenie, że Homer był aoidem! Jeśli był, to znajomość historii, podań i mitów uzyskał w dzieciństwie jako pacholę prowadzące starszego aoida. Siadywał u jego nóg przy ogniskach megaronów i słuchał milcząc. Jakikolwiek jego odezwanie się w gronie dostojników byłoby niedopuszczalną beczelnością, bierne słuchanie nie wystarczy, aby język stał się giętki, zdolny do literackiej ekspresji. Do tego trzeba go ćwiczyć w rozmowach z piastami, gubernatorami, nauczycielami i licznymi dorosłymi potrafiącymi wypowiadać się poprawnie. Decydujące dla językowej sprawności są lata dziecięce. Takie są warunki rozwoju człowieka. Nie wystarczają tu rozmowy z jednym mistrzem. Trzeba poznawać różne sposoby dyskusowania, argumentowania, wnioskowania. Tych możliwości pacholę aoida nie miało. Powstałe w późniejszych wiekach agory zdemokratyzowały kulturę słowa, ale w czasach homerowych literacko sprawny mógł być tylko mieszkaniec pałacu, tam wychowany i żyjący, tam czujący się u siebie w domu. Chłopskie dziecko pilnujące gdzieś na halach stada owiec było automatycznie wykluczone z tej konkurencji.

Załóżmy jednak, że zdarzył się cud i pacholę aoida wyrosło na świętego literata! Jego los, więc na dworach zależały od poprzedzającej go sławy. Dobrze musiał dokumentować swoje autorstwo, dbać o rozgłos, zwalczać plagiatorów. Drukarni nie było, tantem od wydawców nie dostawał. A czytelnicy, słuchacze? Oni zawsze kochali plotki. Czemu więc nic nie wiedzieli o Homerze? Bo sam tego nie chciał, bo sława autorska nie była mu potrzebna, bo zdegradowałaby go. Już od dawna wyżej cenimy wielkich poetów, niż przedstawicieli władzy (no, może dopiero po śmierci). W czasach homerowych jeszcze przyznawano pierwszeństwo władającym mieczem przed władającymi rylcem. Każdy lud o plemiennej strukturze, a takim byli starożytni Grecy, zachowuje w tradycji wiedzę o własnej tożsamości, o tym skąd się wywodzi, kim byli jego przodkowie. Ta cecha kultury też nie pomogła przeniknąć tajemnicy autora *Iliady*.

Homer otrzymał najlepsze wykształcenie, jakie mógł oferować półbarbarzyński kraj, wyszkolenie ryckie i ...praktykę wojenną. Setki realistycznych

opisów rozmaitych scen bitewnych nie mogły powstać z czystej wyobraźni. Oto przykład:

*Stał jak słup albo drzewo, sobie nieprzytomny.
W piersi mu Idomenej zadał cios ogromny.
Kirys, którym był tyle razy zasłoniony,
Dzisiaj niedostateczny dla jego obrony:
Rozdziera się, chrapliwy dźwięk darciem wydaje.
Pada rycerz, a włócznia do serca dostaje:
To drga i wstrząsa dzidę za każdym swym biciem.
Tak Alkat, rycerz Troi rozłączył się z życiem.*

Przeł. F.K. Dmochowski

Gdzie stał wówczas Homer? Bardzo blisko, ale po której stronie? Czy nie z jego to ręki wyleciała włócznia? Idomeneus i Homer byli przecież Grekami. Do imion legendarnych wojów są oczywiście dobrane późniejsze, realne zdarzenia wojenne. A że glazy nie były tak wielkie, ani konie tak ręczne... Był Homer nie tylko uczestnikiem walk i obserwatorem pola bitwy. Zawarte w *Iliadzie* opisy ran zadanych gdzieś w spojeniach pancerzy, omawiające dokładnie miejsce wlotu oręża i wylotu z przeciwnej strony ciała oraz spowodowane tym uszkodzenia narządów wewnętrznych, byłyby możliwe do przedstawienia przez świadka walki tylko, gdyby mógł on znajdować się choćby w dwu miejscach jednocześnie.

Są to typowe opisy obdukcji.

J. Łanowski tak o tym pisze: „Jest w *Iliadzie* około ćwierć tysiąca opisów nagłej śmierci ginących w walce wojowników i chociaż żaden z nich się nie powtarza, wszystkie niemal znajdują fachowe uznanie lekarza, wszystkie są autentyczne.” Nie zostały one jednak spisane przez lekarza, gdyż w *Iliadzie* jest bardzo mało napomknień o stosowanych terapiach i są to informacje ogólnikowe. Obdukcje mógł zaś i powinien obok lekarza przeprowadzać spolegliwy dowódca. Realistyczne są też w *Iliadzie* opisy narad dowództwa, W takich naradach musiał Homer uczestniczyć zachowując dystans obserwatora, a raczej nadrzędną pozycję arbitra i decydenta.

I jeszcze: świetna znajomość archaicznych rekwizytów. Z nimi mógł zetknąć się jako dziecko tylko w królewskim skarbcu – zbrojowni zapalając swoją wyobraźnię. A rejestr okrętów? Czy była to nudna wyliczanka powtarzana przez aoidów, czy raczej odpis archiwalnych tabliczek? Czy domokraczy grzebali w skarbcach i archiwach? Kto miał tam dostęp? *Iliada* to wielki zbiór opisów obrazowych i dźwiękowych wrażeń, niby *son et lumiere*. Pewno te obrazy wyczarował ślepiec. Człowiek odbiera więk-

szość informacji wzrokowo i słuchowo, choć ból jest sygnałem najsilniejszym. Dotyk zaś jest odczuwany tylko w wyjątkowych okolicznościach, nigdy zaś na polu walki. W normalnych warunkach nie pamiętamy wrażeń dotykowych. Skąd przeto taka scena w *Iliadzie*?:

Wówczas to wielkim głosem, jął wołać Hektor do swoich:

„O waleczni Trojanie i wy, sprzymierzeńcy przesławni,

Niech wasza moc rozpiętana pokaże, coście za mężel

Mnie tymczasem do Troi pospieszyć wypada i zlecić

Starszym z Rady i naszym małżonkom, by modły błagalne

Zanieśli do bogów i wraz hekatomby przyrzekli im złożyć.”

Tak powiedziawszy oddalił się Hektor o lśniącym szyszaku.

Kiedy zaś szedł, uderzała go w kark i w kostki obydwie

Tarcza wypukła krawędzią swą, czarną skórą pokrytą.

Tłum. I. Wieniewski

Takie pukanie mógł odczuć tylko sam Poeta. To on odprawił do boju swoją drużynę: jednych po chwałę zwycięstwa, innych po śmierć lub kalectwo. To jego nerwy napięte do granic wrażliwości odczuły i zanotowały w pamięci lekkie uderzenia tarczy.

Jakże to? Tak wrażliwy był autor – piewca okrucieństw walki? Nie był sadystycznym zabijaką? Po co więc to wszystko pisał? Sam podaje nam klucz do tej zagadki:

Patrząc na niego spode łba odrzeczł Dzeus chmurowładny:

„Precz wiarołomny zmienniku! Ty nie siedź mi tutaj i nie jęcz!

Nikt tak jak ty nienawistny mi nie jest z mieszkańców Olimpu.

Waśń i wojny i boje są zawsze tobie najmiłsze”.

Tłum. I. Wieniewski

Te słowa skierowane do syna, boga wojen, Aresa są w istocie przesłaniem samego Homera. Jaka szkoda, że tak rzadko odczytywane są te intencje i tak mało skuteczne obrzydzenie wojen!

Teraz, kiedy przestaliśmy już uważać Homera za śpiewaka drepczącego od wioski do wioski, łatwiej

domyślmy się, gdzie odbył konieczne studia literackie. Był taki kraj śródziemnomorski, który miał w czasach Homera od tysięcy lat rozwiniętą kulturę. Tam uczyli się, jak wieść niesie, Solon i Pitagoras. To Egipt – światowe mocarstwo faraonów, arystokracji, urzędników i kapłanów. Siłą kapłanów była wiedza, a ich orężem – słowo. Oni mieli opanowaną, rozwiniętą znajomość retoryki i metod literackich.

Jak wśród nich znalazł się Homer? Egipt, jak inne państwa np. Fenicja, miał obce gwardyjskie regimenty strzegące bezpieczeństwa władzy. Wiadomo, że były to często wojska greckie. Dla zagwarantowania ich lojalności najprościej było przyjmować z nimi zakładnika, królewskiego syna dowodzącego tymi wojskami i mającego status gościa. „Zwyczaj brania takich zakładników był w starożytności i w średniowieczu niemal tak powszechny jak zawieranie sojuszków przez małżeństwa. Homeros znaczy przecież: zakładnik. Gość mógł przebywać wśród dostojników i korzystać ze wszystkich dobrodziejstw z jadła i napoju, a kiedy miał pragnienie wiedzy – to i z niej. Kapłani – tłumacze chętnie uczyli utalentowanego i etycznie postępującego młodzieńca. Przekazali mu też swoją specjalność: umiejętność zachowania tajemnicy. Gdzie Homer pisał *Iliadę*? Przymuszczałnie na obczyźnie, podobnie jak Mickiewicz *Pana Tadeusza*. W Egipcie nie brak było papirusu i zacisznej komnaty do pracy, a może też serdecznej zachęty ze strony kapłanów. Później, gdy już zasiadł na tronie przodków, powracał wspomnieniami do swoich podróży i tworzył baśniową *Odyseję* o przygodach w szerokim świecie. Przywoływał znanego sobie Cyklopa, groźnego olbrzyma, który obudzony ogniem w jedynym oku ryczał potężnie rzucając kamienie (pumeks) do morza. Homer udawał pewno przed domownikami, że pisze kroniki królestwa, pocztę dyplomatyczną lub rozporządzenia. To już były lata pokoju, stabilizacji i mecenatu nad aoidami odczuwalne w literackim klimacie tej drugiej epepei.

Nielogiczny jest spór o to, czy *Iliada* i *Odyseja* były napisane przez tego samego autora, czy każde z tych dzieł przez innego. Oczywiście obie strony sporu mają racje, problem polega tylko na tym, co przez to rozumiemy. Jeżeli nie można dwa razy wejść do tej samej rzeki, to i dwa razy spotkać tego samego człowieka. Kim innym był młodzieniec, któremu poczucie honoru i społeczna godność kazały walczyć, choć rozum i poetycka wrażliwość pozwalały widzieć jak nadmierną cenę płaci się za spełnienie tych wymagań, kim innym zaś dojrzały

mężczyzna sprawujący władzę. W tym sensie Homerów było dwu. Natomiast jeżeli uzna się za jednego człowieka tego, który z dziecka niepostrzeżenie przekształca się w starca, to w tym sensie Homer był jeden. Zapewne talent autora *Odysei* był niemniejszy, niż autora *Iliady*, i nie wymagał podpierania się pseudonimem poprzednika.

Wyciągnięcie tych wniosków podpowiada mi literacko-psychologiczna analiza utworów i ślad pozostawiony przez autora tych arcydzieł przybranym pseudonimem. Co mogłaby dodać jeszcze do tego współczesna wiedza historyczna? Życie Homera, chyba w VIII wieku p.n.e. przypada na trwający w Egipcie w latach 1075–715 tzw. trzeci okres przejściowy. W tym czasie początkowo panowała, jak ją teraz określamy, XXI dynastia, której stolicą było Tanis w delcie Nilu. Ostatnim faraonem, tej dynastii był Psusennes II, a po nim władzę sprawowały XXII–XXIV dynastie z faraonami wywodzącymi się od dowódcy libijskiego wojska najemnego Szeszonka. Nie jest znany przebieg zmiany dynastii. Czy była to zdrada, bunt, lub po prostu odprowadzenie w 945 r. Psusennesa II do nekropolii? W każdym razie nowa władza została akceptowana przez poddanych. Nie podporządkowały się jej Teby – konkurencyjna stolica Górnego Egiptu zarządzana na zasadach „interregnum” przez kapłanów Amona. To właśnie Tebom potrzebne były do obrony oddziały najemników najlepiej nie z sąsiedniej Nubii, oczywiście też

nie z Libii, Persji i Asyrii. Pozostawali do dyspozycji tylko Grecy. Zapewne Amon mógł uszczknąć na żołąd trochę ze swoich skarbów. Może w trwających obecnie intensywnych pracach archeologicznych w tebańskiej świątyni Karnaku zostaną znalezione inskrypcje zawierające imię Homera, lub jego ojca. Tak zostałaby rozwiązana zagadka.

Na koniec chcę przedstawić hipotezę nieśmiało przebłyskującą przez fabułę *Iliady*. Jeżeli jej Autor przemycił symbolikę niektórych postaci, a przeciw egipskie hieroglify były symbolami, to Helena jest symbolem piękna sztuki, Menelaos – władzy, Achilles – przemocy, zaś Parys – kultury:

Tymczasem poszedł Hektor do Parysa dachu.

Sam Parys kształt wymyślił wspaniałego gmachu.

Tłum. F.K. Dmochowski

Helena podążyła za Parysem – sztuka wiąże się z kulturą, Parys zabija Achilleusa – kultura zwycięża przemoc, Menelaos zabija Parysa – władza niszczy kulturę, Helena wraca do Menelaosa – sztuka będzie służyć władzy.

Przypisy

¹ J. Łanowski, *Wstęp do Iliady*, wyd. Ossolińskich, Wrocław 1986.

² J. Łanowski, *Uwagi tłumacza Iliady*. Wydawnictwo Literackie, Kraków, 1984.

Autor tekstu jest nieprofesjonalnym miłośnikiem świata i literatury antycznej, jednym z tych, którzy pragną dzielić się swoimi myślami z innymi.

PAPIEŻ I KAPŁANI Michał HOROSZEWICZ

Dokończenie ze str. 28

¹¹ Duroselle, wyd. cyt., przy stronie 257.

¹² Ustawa gwarancyjna (1871), art. 1: „Osoba Ojca Świętego jest święta i nietykalna”; porozumienie w sprawie rewizji konkordatu laterańskiego (zawarte 1984): „Republika Włoska uznaje szczególne znaczenie dla świata katolickiego Rzymu – stolicy biskupiej papieża” – w Mirosław Nowaczyk, Zbigniew Stachowski: „Konkordat z Włochami”, Warszawa 1989, s. 51 i 198.

¹³ O tym obszerne hasła „Donacja Konstantyna – darowizna K.” – w „Encyklopedia...”, wyd. cyt., t. 4, kol. 106–7, oraz „Donation of Constantine” – w „The Oxford Dictionary...”, wyd. cyt., s. 414–5. Falsyfikację dokumentu wykazywali niektórzy humaniści już w XV w. (zwłaszcza Mikołaj z Kuzy).

¹⁴ Aleksander Smolar: „Konic pokolenia niewoli” – w „Tygodnik Powszechny” 21 XI 2010, s. 6–7.

¹⁵ Waclaw Oszejca: „Bóg nie potrzebuje kiczu” – w tygodniu „Newsweek Polska” 21 XI 2010, s. 36–38.

¹⁶ Janusz A. Majcherek: „Kto kogo wyklucza” – w „Gazeta Wyborcza” 9 XII 2010, s. 20.

¹⁷ Ludwik Wiśniewski: list przesłany do adresata we wrześniu, ogłoszony w „Gazecie Wyborczej” 14 grudnia 2010 r., s. 16–17.

¹⁸ Marcin Król: „Kościół sobie nie radzi” – rozmowę przeprowadziła Katarzyna Wiśniewska, „Gazeta Wyborcza” 17 XII 2010, s. 22.

FORUM

FILOZOFICZNO-LITERACKIE

Maria SZYSZKOWSKA

Okiem filozofa

Egipt i Polska

Ostrej krytyce PRL, która dochodzi do głosu w naszym życiu publicznym, towarzyszy zarzut zależności od ZSRR. Nieprzyzwoite, że takie sądy wygłaszają także ci, którzy dzięki PRL osiągnęli wysokie stanowiska. Pomija się w tych opiniach krytycznych, że przesądziły tę zależność państwa zachodnie i Stany Zjednoczone.

W świetle tej krytyki staje się niezrozumiała obecnie skłonność do zależności od USA. Trudno zrozumieć dlaczego działania zgodne z interesami tego państwa mają być wyrazem wolności, zaś działania zgodne z interesami innego – przejawem zniewolenia.

Jednym z wielu objawów dostosowywania Polski do obcych modeli jest reforma nauczania. Nie zachodzi żadna konieczność, by odchodzić od polskiego modelu ugruntowanego po rozbiorach. Jest oczywiste, że nadmierna zmienność przepisów prawnych wytwarza poczucie braku bezpieczeństwa. Nasuwa się pytanie na ile ta reforma służy narodowi, a na ile ma na celu utrwalić nazwiska jej inicjatorów. Podniesienie poziomu edukacji jest konieczne, ale na przeszkodzie nie stoją struktury formalne, które będą podlegać daleko idącym modyfikacjom. Tak poważna reforma szkolnictwa wyższego powinna być przedmiotem dyskusji publicznej.

Zatrzymam się na jednym przykładzie. Została wprowadzona punktacja dorobku naukowego. Liczą się w nim artykuły naukowe mające objętość nie mniejszą niż 15 stron, opatrzone bibliografią oraz rozpoczynające się od krótkiego streszczenia oraz podania tzw. słów kluczowych. Ten formalizm prowadzi do gadulstwa i utrudnia wytworzenie umiejętności syntetycznego przedstawiania cudzego, bądź własnego stanowiska. Poza tym te wymagania formalne i wprowadzenie punktacji nie gwarantują ani wysokiego poziomu naukowego, ani obiektywizmu.

Obiektywizmu nie osiąga się zamieniając stopnie przez punkty, bądź naukę historii – polityką historyczną. Od dwudziestu lat nie ma mediów, któreby obiektywnie informowały o świecie. Bardziej obiektywna od „Gazety Wyborczej” – „Trybuna” nie była doceniana przez wysokie gremia lewicowe, które pozwoliły jej upaść. W rezultacie mamy do czynienia z ułamkowymi informacjami o naszej rzeczywistości. Te szczątkowe wiadomości sprawiają, że więcej wiemy o Europie niż o innych kontynentach, mimo że żyjemy w epoce globalizacji. Rzeczywistość wirtualna jest bliższa perspektywie warstw bogatych, interesów koncernów i banków niż obrazu rzeczywistości, który wywołuje ruchy alterglobalistyczne.

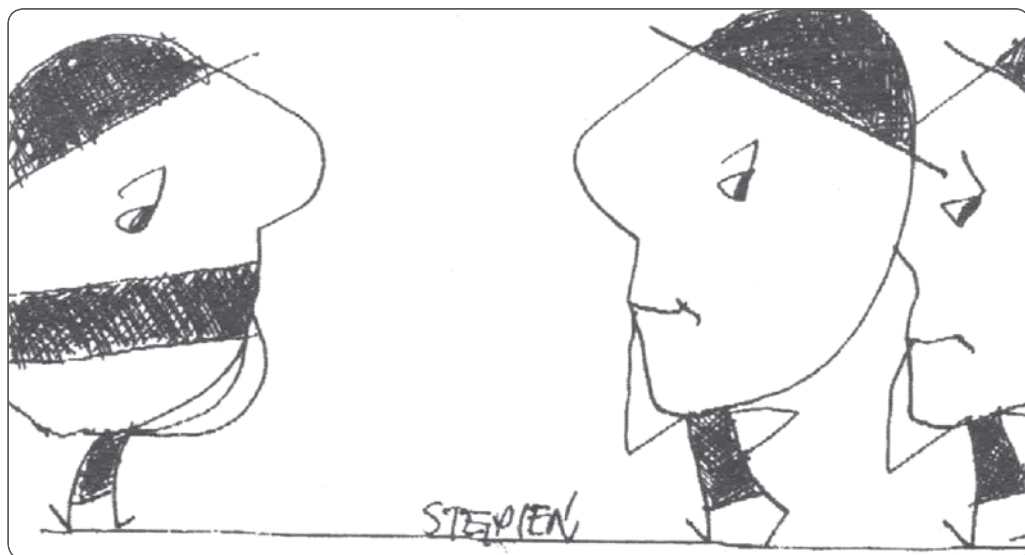
Sytuacja w Egipcie powinna niepokoić tych, którzy rządząc nie liczą się ze swoim społeczeństwem. Bieda i niezadowolenie z powodu braku wolności i niesprawiedli-

wości będzie wywoływać zamieszki także w innych krajach niż Egipt. Nie ma takich mediów, przynajmniej w Polsce, w których niezależnie myślące osoby mogłyby relacjonować własny ogląd zjawisk.

Rozpaczliwa sytuacja zawsze w końcu wywoła protesty, bo znękanie i zastraszenie w krańcowych przypadkach dodaje sił do wyjścia z fazy biernego niezadowolenia.

Wskazywana przez polityków w nowej Polsce decentralizacja jako warunek sprawiedliwości wynika z nieznamościami natury ludzkiej. Otóż, można ją propagować, ale pod warunkiem wcześniejszych, długotrwałych procesów edukacyjnych kształtujących w inny sposób nasze właściwości. W sytuacji obecnej, nawet ta niepełna decentralizacja już obraca się przeciwko człowiekowi. Skrzywdzony przez urzędników lokalnych – nie ma się do kogo odwołać. Niszczeniu zabytków w małych miasteczkach też nie może się przeciwstawić Ministerstwo Kultury właśnie dlatego, że o wielu podstawowych sprawach decydują lokalni urzędnicy o wąskich horyzontach myślowych, dążący często do zaspokojenia własnych interesów.

Wracając do problemów narodowych, balansujemy między USA a państwami zrzeszonymi w Unii Europejskiej, utworzonej m.in. jako przeciwwaga dla potęgi Stanów Zjednoczonych. Zacieśnienie więzów z krajami Azji i w Afryce wyzwalałoby nas z tego balansowania. Jednakże nie umiemy rozwiązać narastających u nas problemów ekonomicznych, społecznych i kulturowych – wtrącamy się w wewnętrzne sprawy innych państw. Zarzucamy im brak wolności, zapominając, że u nas zamiast pluralizmu poglądów – funkcjonuje faktycznie jeden: liberalizm ekonomiczny oraz moralność katolicka. Zarzucanie więc rządowi państw zniewalania własnych społeczeństw może być zasadnie interpretowana jako odwracanie uwagi od niedostatku wolności w Polsce.



Rys. Jan Stepien



Tańce polskie

Profesor wyjeżdżał na wykłady do Włoch. Europejski Uniwersytet we Florencji zaprosił go na kilka semestrów lekcyjnych, co Profesorowi bardzo przypadło do gustu. Tedy przygotował się należycie do nowych zadań, westchnął głęboko i wkrótce nie pozostało mu już nic innego, jak, spotkawszy się z Przyjacielem, postawić przed nim butelkę tokańskiego chianti sprzed kilku lat.

- Może się okazać ciut za stare - uprzedził. I dodał: - Nie każde dobre wino dobrze się starzeje.

- Jak człowiek - zauważył Przyjaciel. - Ale nie martw się, za kołnierza go nie wylejemy.

- Jest za to trochę mocniejsze - ocenił Profesor, gdy go spróbowali. - Prawda?

- W przeciwieństwie do człowieka - skomentował po swoim Przyjacieli

Ale nie posmutnieli. Przeciwnie:

- Tam-taratam-tam-tam-tam... - zanucił Profesor.

- Co to? - zdziwił się Przyjaciel.

- Ja to co? Polonez Ogińskiego!

- A czemuż to?

- Jak to czemuż? „Pożegnanie ojczyzny”, przyjacielu.

Przyjaciel przyjrzał się Profesorowi uważnie. To, co usłyszał, było tylko dalekim echem tego, co w duszy Polaka gra zawsze, choć na ogół fałszywie. Polonez Ogińskiego, Mazurek Dąbrowskiego, Polka Straussa wiedeńskiego. Nie odzywał się przez czas jakiś, bo się zamyślił. Tańce polskie. Tańce, zabawy, swawole. Nigdy wcześniej nad tym się nie zastanawiał. Tańce narodowe...Ale mazurka „narodowego” się nie tańczy... Zwierzył się z tych myśli Profesorowi.

- Kiedyś się tańczyło - zauważył Profesor.

- Gdzie?

- Na Bałkanach.

- Jako mazurka? Nie wymyślił tego tańca nasz Chopin?

- To nie był mazurek. Nasz, Dąbrowskiego, powstał jeszcze przed urodzeniem się pana Fryderyka. Zresztą jego mazurki też nie były do tańca.

- Więc co było wtedy do tańca? - zniecierpliwził się Przyjaciel. - Kadryle, menuety?

Profesor roześmiał się. Terpsychora nie była boginką ubogą w pomysły, podsuwała ludziom całe fale rytmów, taktów i harmonii muzycznych. Powstawały balety i tańce operowe, Krakowiacy i Górale, za miedzą Antonin Dworzak udzielił nam głosu w swoich Tańcach Słowiańskich, jest piękny mazur Moniuszki, zespołowych, publicznych tańców moc.

- I owszem - powiedział - po dworskich, pałacowych salonach tańczono kontredanse, a nawet girlandy, ale byliśmy jeszcze my, lud polski, który też chciał się weselić po dniu ciężkiej pracy. Sam wiesz, jak wspaniale mieliśmy tańce - krakowiaki, kujawiaki, polki, oberki, a pod Tatrami góralskie - krzesany, chodzony - na różne nastroje i temperamenty.

- Mieliśmy? Miałeś, chamiu, złoty róg? - dopytywał się Przyjaciel. I choć pił dobre włoskie wino, gorzko mu się jakoś robiło. Nie ukrywał tego: - A teraz Polacy weselą się na ponuro, co? Marsze żałobne, sabat czarownic...

- Zaraz, zaraz - powstrzymał go Profesor. - Wszak mieliśmy jeszcze wiek walców, fokstrotów i tang. To też się liczy, przetańczyliśmy tak naszą młodość.

- To było tak dawno, że prawie nieprawda – stęknął boleśnie Przyjaciół. – Mówiliśmy o tańcach polskich, zdaje się...

- Mieliśmy uroczyste polskie walczyki i tanga...

- Tango Milonga, wiem...Ale też w czasie przeszłym.

Teraz jednak obaj posmutnieli. Mówili coś jeszcze o tradycji, o lamusie obyczajów, o książkach i scenie. O zerwanym ogniwie w łańcuchu rozwoju kulturalnego, o poddaństwie modom, trendom i globalnej uniformizacji. O discopolu i płasawicy. O tym, że ludyczność już tylko jedno ma imię: gry w zmysły do upadłego. Bo nie wiemy, czy świat potrwa jeszcze dwa tygodnie, powiedziane... I obaj się roześmieli z tego czarnego gadania, nie byli już młodzi, a młodość ma swoje nieodpowiedzialne prawa, których żadna mądrość w pełni nie opanuje.

- Ruch niedojrzałego ciała jest jak poezja – próbował pogodnie podsumować Profesor. – Może pozostać w „kółku graniastym” albo poddać się niewoli szarpidrutów, aż po zbiorową histerię. Jeszcze nie mamy klucza wyobraźni do przyszłości świata.

- A tymczasem tracimy przeszłość – poskarżył się Przyjaciół, patrząc na pustą butelkę. – Czy naprawdę nic już nie pozostało z naszych polskich tańców?

Profesorowi wydawało się, że jeszcze nie pora na powagę.

- Cóż znowu! – zaprzeczył. – Przecież wciąż się kręcimy w naszym tańcu cholim...

Przyjaciół popatrzył na niego z obawą, czy nie jest to nazbyt okrutna prawda.

Lamberto Pignotti z „Minibajek”

Królowna Śnieżka

Była kiedyś całkiem miła panienka, ze względu na swoją bladą cerę nazywana królową Śnieżką, która poznawszy w swoim czasie siedmiu krasnoludków, wbiła sobie w głowę, że musi z nimi przeżyć jakąś przygodę, by móc potem ją opowiadać, ale że w tych czasach bajek było co niemiara, postanowiła tedy powołać do życia wspólną trupę teatralną i występować razem na scenie, co przyniosło im wszystkim wielkie powodzenie, więc żyli długo i szczęśliwie.

Wacław SADKOWSKI

Lektury nieobowiązkowe

Non omnia palea

O traktacie Tadeusza Bartosia *Koniec prawdy absolutnej* wypowiadam się nieśmiało, świadom swej niekompetencji w kwestiach natury teologicznej, ale z głębokim przekonaniem, że autor adresował swe dzieło nie tylko do znawców tego, co się zwykło obejmować pojęciem filozofii pierwszej, lecz do szerszego grona czytelników zainteresowanych tą problematyką, łącznie z tymi, którzy rozpatrują ją z krytycznego dystansu. Temu zlaicyzowanemu zdystansowaniu w mym odbiorze towarzyszą jednak wciąż żywe wspomnienia o niegdysiejszym (sprzed sześciu dekad!) mym zaangażowaniu wewnętrznym w zapoznawanie się z myślą tomistyczną.

Jak przypuszczam, zafascynowanie nią w okresie studenckim (a i wcześniej jeszcze) nie było doświadczeniem jednostkowym. Pamiętam, jak w mym kręgu zaczytywaliśmy się w opublikowanym w *Znaku* (w roku 1950, a więc w okresie „przedgwinowskim”, kiedy redaktorem naczelnym była Hanna Malewska) kompendium „ABC tomizmu” autorstwa ojca Innocentego Bocheńskiego. Pamiętam podejmowa-

ne przez nas żmudne egzegezy wywodów profesora Stefana Świeżawskiego zawartych w jego fundamentalnym dziele zatytułowanym *Byt*. Jedyным wszakże spośród nas – poszukiwaczy rozumowego uzasadnienia dla wpojonej nam w dzieciństwie wiary, który podjął akademickie studia w tej dziedzinie okazał się obiecujący w owych latach poeta, Antoni Podsiad. Zamilkł jednak jako pisarz natychmiast po rozpoczęciu owych studiów; o ile mi wiadomo, wniósł później istotny wkład jako edytor w redagowanie kolejnych tomów bezcennej wprost serii patrycystycznej, wydawanej przez Pax.

Obawiałem się wówczas przyznać, że kompendium tomistyczne ojca Bocheńskiego nie wydało mi się ani odrobinę klarowniejsze i bardziej przekonujące od *Wstępu do teorii marksizmu* pióra profesora Adama Schaffa. (Mój nieżyjący już dziś przyjaciel-erudyta, którego nazwiska nie wymienię nie chcąc go narażać na wyszydzenie przez wszechobecnych troglodytów, utrzymywał wręcz, że dziełko najtępszego umysłu z klanu Bocheńskich nie umywa się do pełnego finezji intelektualnej wykładu podstaw marksizmu przeprowadzonego przez czołowego marksistę rosyjskiego, Bucharina, wyklętego już wówczas przez Stalina; książka Bucharina znajdowała się na liście prohibitów warszawskiej Biblioteki Uniwersyteckiej. Przyjaciel mój miał tam sekretne „dojścia”, udawało mi się więc w czytelnicy popatrywać przez jego ramię w tekst Bucharina.) Toteż kiedy w książce Tadeusza Bartosia przeczytałem, że o. Bocheński – wraz z innymi luminarzami lubelskiej szkoły tomistycznej – „stworzył karykaturalną wersję tomizmu”, jaką „skonstruował – jak przyznał po latach – jako imitację pracy o komunizmie, napisanej przez Stalina”, poczułem się jak rozgrzeszony po latach. (Co się tyczy Świeżawskiego, Bartoś cytuje go jednokrotnie tylko w przypisie wyliczającym autorów zajmujących się teorią analogii – z którą podejmuje rzeczowy spór – oraz wymienia nazwisko Świeżawskiego w innym przypisie, pośród tłumaczy *Medytacji o pierwszej filozofii Kartezjusza*).

Książce Tadeusza Bartosia zawdzięczam autorytatywne potwierdzenie mego, powziętego intuicyjnie przed z górą półwieczem przeświadczenia, iż Tomasz z Akwinu w paru przynajmniej wywodach, olśniewająco spójnych i poprawnych logicznie, zatrzymuje się u progu Niepoznawalnego – i zawiesza dalsze drażnienie kwestii podniesionych do rangi dogmatu wiary. Co więcej, próbuje podejść do takich kwestii inną drogą, posiłkując się innymi sylogizmami i odmiennymi sposobami wnioskowania – i znów się zatrzymuje, jakby w półkroku, z takiejże przyczyny. Bartoś udawadnia (a ma argumenty niezbite, jako jeden z największych znawców i najwytrawniejszych tłumaczy pism Akwinaty), że puścizna myślowa Doktora Anielskiego nie jest bynajmniej koherentnym, zwartym systemem filozoficznym, zamkniętym dowiedzionymi logicznie konkluzjami. Przeciwnie – jest wiązką niejako równoległych przewodów myślowych, urywanych zawsze w tym samym punkcie: u przedproża tego, co Niepoznawalne dla umysłu ludzkiego, Niepojmowalne dlań, a Niewyobrażalne nawet dla człowieczych, antropocentrycznych fantazji. Tego, co się zwykło określać mianem Prawdy Absolutnej – i co nie mogłoby nią być, gdyby każdorazowo formułowane w oparciu o historycznie zdeterminowany stan wiedzy ludzkiej „iluminacje” uznawać za definitywnie posiędzioną, niekwestionowaną i niekorygowalną wiedzę ultymatywną o tym, co się niekiedy określa mianem Wszecznego.

Książka Bartosia ma jakby dwa bieguny, jej wartość opiera się na ich skonstruowaniu. Biegun pierwszy – to apologia odwagi myślowej Akwinaty, który udowadniając powściągliwość badawczą tego Ojca Kościoła sławi go właśnie za nią. Za uznanie swej niekompetencji jako człowieka podlegającego uwarunkowaniom wynikającym ze swej „historyczności”, swym wpisaniem w stan wiedzy, w określoną kulturę, a także obyczajowość intelektualną, tym samym więc niezdolnego do sprostania transcendentnej w stosunku do „człowieczności” prawdzie boskiej – jedynej, jakiej przysługuje atrybut „absolutności”. To samoograniczenie się docieklivosti człowieczej nie jest w rozumieniu Bartosia samoupokorzeniem. Jest rozumnym zakreśleniem granicy

dociekań i domniemań (podobna powściągliwość występuje w judaizmie, gdzie Bóg pozostaje istnieniem Nienazywalnym) – jest odpowiedzialnym wyznaczeniem pułapu możliwości badawczych umysłu ludzkiego.

Biegun drugi – jest apologią odwagi etycznej Doktora Anielskiego. Ci, co ów pułap możliwości badawczych człowieka neglżują artykułując nie dające się udowodnić domniemania i hipotezy, jakim przypisują rangę prawdy absolutnej, są uzurpatorami nadużywającymi uprawnień zarówno badawczych, jak i – co najgorsze w skutkach – dydaktycznych i przywódczych. Liczba takich nadużyć – sankcjonowanych często dogmatem o nieomyślności samozwańczych rzeczników „prawdy absolutnej” – wskazanych przez autora książki, czyni z niej niemal akt oskarżenia zawłaszczycieli owej prawdy. Ponieważ z reguły usytuowani są oni w najwyższych instancjach nauczycielskich i administracyjnych Kościoła, wskazanie ich wymagało od Autora rzeczywistego heroizmu etycznego i intelektualnego. Podobnie jak wykazanie, że w dobie obecnej, charakteryzującej się wzrostem aspiracji do upodmiotowienia ludzi traktowanych przedmiotowo we wszystkich bez wyjątku dziedzinach życia społecznego i umysłowego oraz systematycznym poszerzaniem się obszarów objętych oświeceniem umysłowym, stajemy się świadkami – i współrealizatorami – procesu, który Tadeusz Bartoś nazywa otwarciem „końcem prawdy absolutnej”.

Przy tym wszystkim książka jest żarliwą apologią owej prawdy – w jej kształcie integralnym, nie zbanalizowanym ani nie strywializowanym, uwolnionym od dogmatyzowania na miarę ograniczonych i z natury ułomnych człowieczych interpretacji, najczęściej dyktowanych potrzebą instrumentalizowania i użyczenia pojęć i wyobrażeń kultowych. Nadprzyrodzoność nie tylko wychodzi z przewodów badawczych Tadeusza Bartośa bez szwanku, ale odzyskuje swój ponaddorażny, ponaddoczesny, uniwersalny wymiar.

Nie muszę podpisywać się pod tym przesłaniem dzieła Bartośa z mym przywiązaniem do reguły „4R” (realizmu, racjonalizmu, relatywizmu i redukcjonizmu), dla którego traktat *Koniec prawdy absolutnej* jest bezcennym sojusznikiem intelektualnym i moralnym (a w pewnym sensie nawet patronem). I nie muszę dodawać, jak rozległe wspólne pole operacyjne otwiera ten traktat przed tymi, którzy myślenie zwane ekumenicznym uznają za najbardziej godny człowieka sposób współżycia z (na najróżniejsze sposoby) Innymi współmieszkańcami „Ziemi planety ludzi”.

P.S.1. Za tytuł do powyższych rozważań posłużyło mi zdanie („Wszystko to słowa”), jakie Akwinata miał wypowiedzieć przed swą śmiercią. Bartoś przytacza je – po to, by dowieść jak heroiczna była odwaga intelektualna Doktora Anielskiego, zdobywającego się na akt samonegacji, niezwykle cenny, gdyż nader wyjątkowy w operacjach logicznych. Ale – jak sądzę – także po to, by przytoczyć jeden jeszcze argument dowodzący, że owa postawa wolna od dogmatyzowania jest najcenniejszym ogniwem puścizny myślowej Doktora Anielskiego.



WŚRÓD KSIĄŻEK

Paul R. EHRLICH

Robert E. ORNSTEIN

Humanity on a tightrope, LUDZKOŚĆ NA LINIE, Rowman and Littlefield Publishers, Inc. Lanham, 2010.

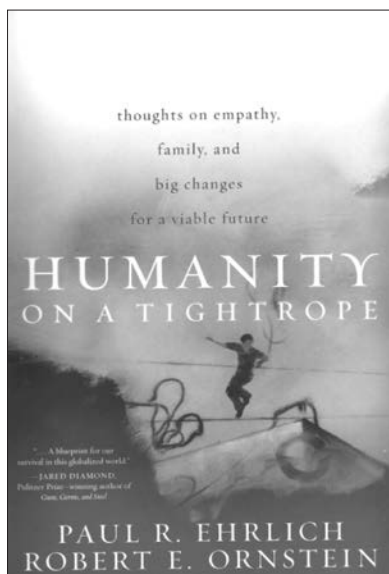
Ludzkość na linie

Dwójka uczonych z Uniwersytetu Stanforda: P.R. Ehrlich, biolog oraz R.E. Ornstein, psycholog, napisali książkę, która uważana jest za manifest ruchu humanistycznego w Stanach Zjednoczonych.

Ruchu, który znacznie przekracza ramy działalności tradycyjnych środowisk świeckich, skoncentrowanych przede wszystkim na opozycji wobec religii. Ehrlich i Ornstein uznaje tego typu podejście jako zawężające, wobec problemów, przed jakimi stoi ludzkość.

Lista problemów jest długa: zmiany klimatyczne, wyczerpywanie się zasobów surowców, uprawnej ziemi, pitnej wody, niekontrolowany przyrost naturalny, pogłębiające się różnice kulturowe, brak skoordynowanej działalności gospodarczej pogłębiająca przepaść między bogatymi, zanurzonymi w rozpasanej konsumpcji a rosnącymi rzeszami biednych – zarówno między Północą a Południem naszego globu, ale i wewnątrz społeczeństw, w tym także krajów najbardziej rozwiniętych ekonomicznie.

Autorzy, związani z intelektualną elitą zgrupowaną wokół byłego wiceprezydenta Al Gora nie dają w swym manifestie odpowiedzi na te problemy w stylu praktykowanym od lat, szczególnie przez środowiska lewicowe, alterglobalistów, Zielonych itp. Ich zdaniem ich programy są tylko zbiorem hasel, pocziwych, ale nierealnych do spełnienia w obecnych warunkach społecznych. Aby rzeczywiście zmienić świat na



lepsze, abyśmy my, jako ludzkość przetrwali, należy przede wszystkim zrozumieć przyczyny zachowań. Zacząć należy od jednostki ludzkiej. Człowiek został ukształtowany w małej zbiorowości ledwie kilka tysięcy lat temu. Relacje międzyludzkie obracały się w tym małym świecie, złożonym z maksymalnie 100–150 osób. Nasz mózg został ukształtowany do odczuwania empatii, solidarności w tej małej grupie. Kobiety zajmowały się dziećmi, mężczyźni zbieractwem i polowaniami. Nie było nuklearnych rodzin – były spokrewnione ludzkie grupy wędrujące z miejsca na miejsce, dla których inna ludzka grupa była zagrożeniem. Powiązania w grupie były najistotniejsze dla przetrwania. Te zasady solidarności wąskich grup przetrwały do dzisiaj. Są nimi spokrewnieni członkowie rodzin, plemiona, grupy wyznawców, członkowie grup zawodowych, kibice wybranego klubu piłkarskiego. Ważna w nich jest relacja „oni” – „my”. Oni to wrogowie, których możemy określić w różny sposób: inne plemię, obcy naród, heretycy, kibole innego klubu.

Nasz horyzont czasowy także został ukształtowany w zamierzczłych czasach gospodarki zbieracko-łowiczej. Interesują nas sprawy dnia dzisiejszego, tego co odnosi się do spraw nas dotyczących lub pojmowanych zakresem wiedzy sprawdzonym w świecie, w którym aktualnie żyjemy. Nie interesują nas sprawy długofalowe. Arystokracja rosyjska do 1917 wierzyła, że jest wieczna, niezastąpiona. Podobnie było z aparatem partyjnym partii komunistycznych osiemdziesiąt lat później. Nie rozumiemy konsekwencji prze-

mian społecznych, choć. w nich uczestniczymy, a co dopiero mówić o konsekwencjach przemian klimatycznych, które nie mają charakteru rewolucyjnego, zachodzącego w kilka – kilkanaście dni, a rozciągają się na dziesięciolecia

Religia także była instrumentem oswojenia otaczającego świata, umożliwiającą ludziom nadanie sensu otaczającej ich przyrody, której zjawisk nie rozumieli: dlaczego wylały rzeki, czemu służą błyskawice, dlaczego wybuchają wulkany. Nie dysponowano narzędziami naukowego poznania, a bogowie stanowili poręczne wyjaśnienie niezrozumiałych zjawisk. Stworzono religie, które okazały się też bardzo skutecznym narzędziem politycznego oddziaływania i manipulacji, tworzenia skutecznej bariery między rządzącą elią a ludzkimi masami.

Religie w dalszym ciągu posługują się systemem wyjaśnień świata, tak jak on funkcjonował tysiąc czy kilka tysięcy lat temu – dziś wiemy, że epidemia tyfusu, AIDS czy tsunami na Oceanie Indyjskim nie są karą za ludzkie grzechy, ale zjawiskami, bez trudności wyjaśnianymi przez współczesną wiedzę. Religia w świecie zachodnim traci swoją bazę społeczną – nawet w Stanach Zjednoczonych, gdzie na skutek działalności byłego prezydenta G. Busha juniora i zgrupowanej wokół niego grupy tzw. Nowych Chrześcijań, wydawało się, że galaktyka rozlicznych religii trzyma się mocno, co roku przybywa ludzi, dla których wiara, jakakolwiek, jest sprawą obojętną. Ostatnie szacunki (American Religious Identification Study z 2008 roku) podaje liczbę bezbożników na 16,6% całej populacji Stanów Zjednoczonych, co stanowi drugą, po katolikach różnych odmian (25,1%), grupę wyznaniową (bezwyznaniową) najszybciej rosnąca liczebnie (8,2% w roku 1990). Problem w tym, że ta grupa jest też najbardziej obojętna politycznie. Autorzy *Ludzkości na linie* pokładają jednak nadzieję, że ludzie areligijni stanowią pożądaną bazę nowego humanizmu, ale zjednoczeni w wieloma ruchami religijnymi poważnie traktujących ludzki wymiar religijnego przesłania w duchu jedności wszystkich ludzi, a nie tylko wybranej grupy, jak np. kongregacja chrześcijańskich unitarian (współdziałająca między innymi z reformowanymi judaistami – mają nawet wspólne domy modlitw).

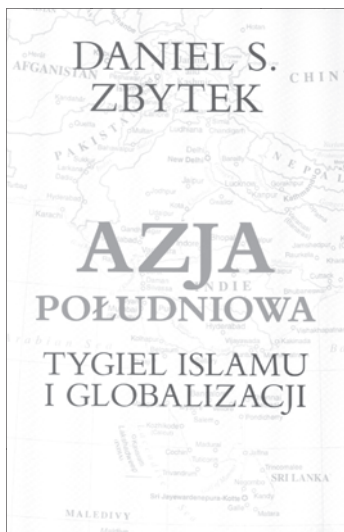
Autorzy uważają, że głównym zadaniem ludzkości jest przewycięzenie solidarności grupowej: danej religii, narodu, sekty, bankowców, polityków i wypracowanie empatii obejmującej całą ludzkość, gdyż tylko na tej drodze będziemy w stanie wypracować skuteczne metody przewycięzenia globalnych zagrożeń. Za konieczne uważają zreorganizowanie systemu nauczania i badań naukowych, odejście od istniejącej klasyfikacji nauki na odrębne dziedziny: biologii, ekonomii, socjologii, antropologii itd. na rzecz kompleksowych badań obejmujących całość ludzkiego procesu poznania. Kryzys ekonomiczny Zachodu to nie tylko, a właściwie w niewielkim stopniu problem ekonomii, ale głównie psychologii, socjologii, matematycznej teorii gier, uwarunkowań biologicznych zachowań sprzecznych z długofalowym interesem decydentów gospodarczych: bankowców, polityków, inwestorów indywidualnych i zbiorowych. Próby wprowadzenia systemów politycznych Zachodu w Afganistanie, Iraku i innych krajach o odmiennej tradycji kulturowej, to nie tylko sprawa ich odmienności w takim stanie, w jakim one dziś funkcjonują – to także sprawa ich uwarunkowania klimatycznego, geograficznego i dostosowań ludzi tam żyjących od wielu pokoleń do otoczenia, w jakim im przyszło żyć – dostosowań kulturowych, ale także biologicznych i psychologicznych.

To podstawowa zasada – musimy wypracować metody poznania i zrozumienia, a przede wszystkim wzajemnego porozumienia ludzi żyjących w odmiennych środowiskach naturalnych i kulturowych. Nie ma społeczeństw gorszych i lepszych, nie ma innych – wszyscy ludzie to my.

Daniel S. ZBYTEK

Daniel S. ZBYTEK _____

Azja Południowa – tygiel islamu i globalizacji.
Wydawnictwo Rambler. Warszawa 2010, s. 344.



Widmo nowej „wędrówki ludów”

Świat jaki jest każdy widzi, ale jest on w ruchu a zmiany są tak szybkie, że coraz trudniej zrozumieć to, co się ogląda. Podróżowanie stało się czymś łatwym i dostępnym. Jeśli dochody nie pozwalają na podróż to obraz tego, co w świecie egzotyczne lub sensacyjne przynoszą media, zwłaszcza telewizja i film. Postęp do spraw niezwykłych został uwolniony od ekonomicznej bariery. Nawet nikłe dochody wystarczają, by być widzem i świadkiem wszystkiego: trzęsienia ziemi, tsunami, rewolucji zamkniętych miast, bogactwa i biedy, Niestety z tego otwarcia świata niewiele wynika.

Jesteśmy tam, gdzie chcielibyśmy być, lecz na rodzaj doznań mamy niewielki wpływ. Oglądamy miejsca egzotyczne, świadkujemy zdarzeniom tylko na tyle na ile pozwala filmowa migawka. Jątrzymy na świat nie swoimi oczyma lecz okiem operatora i jego kamery. Informacje żyją krótko. Są jak mgnienie oka. Wszystko staje się do siebie podobne; osiedla, plaże, samochody, nocne lokale, kostiumy, krew na ulicach i placach. Szczególną właściwością naszych czasów jest to, że jaki jest świat widzi każdy, ale prawie każdy ma kłopoty z jego zrozumieniem. Coraz wyraźniej potrzebujemy książek które uważnie, odmiennie od szablonów używanych w przemyśle informacyjnym, opowiedzą nie o kostiumie

świata lecz o egzystencji ludzi. Opowiem o takim wydawniczym wydarzeniu.

Daniel S. Zbytek stworzył książkę złożoną z czterech części. Jej obszerny tytuł wskazuje najpierw terytorium: „Azja Południowa”. Druga część tytułu mówi o problemach: „Tygiel islamu i globalizacji”.

Autor książki przekonuje czytelnika, że na jego oczach powstaje nowa „Wielka Trójka”: USA – Chiny – Indie. Poddaje analizie ich geopolityczną strategię, pisząc: „Wielka gra w Azji Środkowej w XXI wieku toczy się więc o kontrolę nad tymi samymi krajami, co sto lat wcześniej, ale głównymi partnerami są w niej całkowicie inne państwa przede wszystkim USA, w drugiej kolejności Chiny, w trzeciej Indie, Iran i Rosja, jest jeszcze jeden istotny partner, który ma szansę pomieszać szyki głównych rozgrywających – ruch islamskich fundamentalistów”.

Omówienie książki liczącej prawie trzysta pięćdziesiąt stron nie jest możliwe w recenzji z konieczności zwięzłej. Przypomniałem już jedną dużej wagi diagnozę. Dodam do niej pewną wątpliwość jaką wywołały we mnie niektóre sądy szczegółowe np. ten: „Chiński komunizm był i jest przede wszystkim formą nacjonalizmu”. Jest to sąd sugestywny lecz skąpo uzasadniony faktami. Zapytam; „A czy, można rozwijać, swój kraj przyjmując kryteria ocen i strategię głównego mocarstwa kapitalistycznego z globalistycznej fazy istnienia tego ustroju?”

W przedstawianiu Indii (tytuł tego rozdziału: „Indie -mocarstwo przyszłości”) omówiono dwa tematy wymagające szczególnej rekomendacji: „Tradycje 1857 roku – powstanie sipajów” oraz „Indyjska doktryna nuklearna”. Zachęć czytelnika do uważnej lektury cytując mądrą myśl: „Z europejskiej perspektywy Indie są postrzegane jako jednolity organizm polityczny podobny do europejskich, państw narodowych takich jak Polska, Francja lub Niemcy. Rzeczywistość jest znacznie bardziej złożona”. Autor ma na myśli nie tylko fakt, że ten subkontynent zamieszkuje miliard 200 milionów ludzi, patrzących na świat jak na peryferie bo oni dużo wiedzą, ale głównie o sobie i USA. Wynika to nie z prowincjonalizmu, lecz z faktu, że: „Indie są krainą od tysiącleci wchłaniającą rozliczne narody, cywilizacje, religie i ideologie, które przenikając się wzajemnie i asymilując tworzyły nowe wartości kulturalne”.

Przedstawienie polskiemu czytelnikowi problemów Pakistanu zdominowały refleksje autora nad muzułmanami. To korzystny dla czytelnika wybór albowiem bez niego niewiele rozumie się z bardzo niepokojących nas relacji między tym krajem a Afganistanem. Kluczowy problem islamu czyli relacje między religią i państwem ujmowanym na ogół jako organiczna jedność, zobrazuję cytatem z wiersza Muhamada Igbala (1877–1938): „Hymn społeczności”: „Chiny i Arabia są nasze / My jesteśmy muzułmanami i cały świat jest naszym krajem /skarb jednego Boga jest w naszych sercach (...) wyrosliśmy w cieniu mieczy /siły naszego naporu nikt nie powstrzyma/” Na tym tle analizowana rola madras czyli szkół przy meczetach, w których kształci się milion 800 tysięcy uczniów – talibów, daje czytelnikowi szczególnej wartości materiał do refleksji nad światem, w którym żyjemy.

Rekomendację książki dopełnię jeszcze jednym argumentem. Daniel Zbytek nie unika osobistych, mocno pokreślę, odważnych komentarzy. W czwartej części przedstawia tragedię Kambodży nadając swym refleksjom tytuł: „Tragedia globalizacji w Kambodży”. Akcentuje, że zręby programu Czerwonych Khmerów kształtowały się we Francji i były mieszaniną europejskich komunistycznych idei i specyficznym spreparowaniem tradycji kambodżańskiego narodu. A piekielnymi kucharzami było młode pokolenie rządzącej arystokracji kambodżańskiej skądinąd stypendystów francuskiego rządu. Konkluzja autora jest wiarygodna: „Rządząca arystokracja, używając komunistycznego sztafażu i jego hasła narzuciła model średniowiecznego państwa niewolniczego”. Dla autora książki proces globalizacji w świecie polityki oznacza, że rozwój sytuacji w każdym kraju w coraz większym stopniu zależy od czynników zewnętrznych.

Zastanawiając się nad doświadczeniami z lektury całej książki myślę przede wszystkim o tym, że rosnący z roku na rok migracyjny ruch z byłych kolonii do metropolii nie jest zjawiskiem sezonowym i regionalnym. Autor zdaje się sugerować inny punkt widzenia. Ten ruch w istotnej części jest ruchem w poszukiwaniu chleba w tych krajach, do których odpłynęły pieniądze z kolonii. Być może obserwujemy pierwszą fazę groźnej jak tsunami „wędrowki ludów”. Tym razem nie będzie to wędrowka Germanów, Słowian i Sarmatów, lecz wędrowka ludów Azji Południowej. Czy wywoła skutki podobne tym z IV–VI wieku? Tego przewidzieć nie można. Nie jestem też pewny czy trafnie odczytują myśli autora artykułowane jako sądy hipotetyczne wypowiediane tuż obok sądów opisowych wyrażających diagnozę procesów i stanów realnych.

Książka jest godną uwagi próbą wyprowadzenia opinii publicznej z samodurstwa turystycznych folderów i niszczącej zdolności rozumienia świata działalności przemysłu informacyjnego. To jej bardzo cenny walor.

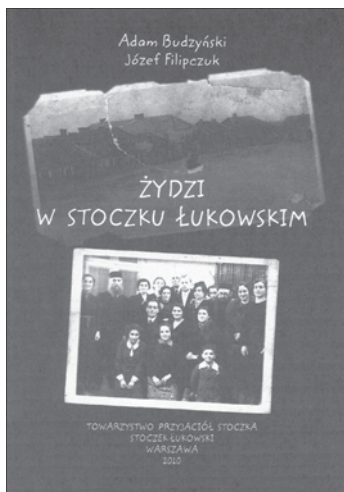
Władysław LORANC



Rys. Marek Chaczyk

Adam BUDZYŃSKI
Józef PILIPCZUK

Żydzi w Stoczku Łukowskim, Towarzystwo Przyjaciół Stoczka, Stoczek Łukowski-Warszawa 2010, s. 127.



W poszukiwaniu uciekającej pamięci

Trudno przecenić rolę i znaczenie tych wszystkich różnorodnych inicjatyw i działań badawczych i kulturotwórczych, które od pewnego czasu rozwijają się w rozlicznych

społecznościach lokalnych jak Polska długa i szeroka. Zjawiska te, układające się razem w szeroki proces, łatwo spoznać przeglądając choćby informacyjne strony internetowe zakładane przez poszczególne gminy. Miałem ostatnio okazję by przekonać się o tym szukając pewnych potrzebnych mi danych dotyczących takich miejscowości, jak Skarżysko-Kamienna, Suchedniów czy Milanówek. Ileż ciekawych wiadomości, opracowań historycznych, wspomnień, wiadomości o ludziach i miejscach! Jeszcze wyższym stopniem realizacji tego rodzaju ambicji są liczne druki, albumy, książki dające świadectwo o własnej przeszłości. Aby to urzeczywistnić potrzeba żeby spełniły się razem trzy warunki: dobra wola życzliwych włodarzy tych miejscowości, minimum niezbędnych środków finansowych oraz istnienie kompetentnych i bezinteresownych osób, które potrafią wykonać takie twórcze zadania.

Książka Adama Budzyńskiego i Józefa Pilipczuka jest dość typowym przykładem tego zjawiska. Najpierw dwa słowa o autorach. Adam Budzyński jest znanym warszawskim dziennikarzem

i publicystą, którego młodość upłynęła właśnie w Stoczku, Józef Pilipczuk – miejscowym emerytowanym nauczycielem. To nader charakterystyczny duet kreatorów; bez osobistego zaangażowania emocjonalnego, bez sentymentalnej terytorialnej więzi rzecz ta z pewnością nie doszłaby do skutku.

Jako wydawca figuruje Towarzystwo Przyjaciół Stoczka, a książkę opublikowano przy pomocy finansowej starosty powiatu łukowskiego, burmistrza Stoczka oraz wójta gminy Stoczek Łukowski. Edycja jest skromna, oszczędna, a przy tym merytorycznie bez zarzutu: są liczne ocalałe zdjęcia z epoki, dokumenty, jakże przydatne mapy, a nawet krótkie streszczenie w języku angielskim.

Stoczek Łukowski jest niewielkim miastem. W styczniu 1921 r. liczył niespełna 3 tys. mieszkańców, z czego 37 proc. stanowili Polacy, a resztę Żydzi. W 1939 r. liczba mieszkańców wzrosła do 4118 osób, w tym 60 proc. było Żydów. **W tym czasie w miastach II Rzeczypospolitej Polacy stanowili przeciętnie 68 proc. ludności, a Żydzi ponad 24 proc. Ale w małych miasteczkach, zwłaszcza wschodniej Polski, te proporcje były odwrócone i Żydzi byli tam żywiołem dominującym.** Dziś historycy z niemałym trudem próbują rozeznaczyć się i odtworzyć układy stosunków, jakie panowały w tych złożonych społecznościach. Wiadomo, że na linii Polacy-Żydzi były to stosunki nie pozbawione sprzeczności, napięć i konfliktów, ale też – z drugiej strony – przykładów budującej współpracy. Książka Budzyńskiego i Pilipczuka pokazuje obie strony medalu. Warto przy tym zauważyć, że w dziejach Stoczka nie zanotowano jakichś ekscesów czy większych zadrażnień na tym polu; obie społeczności miały swój udział w rozwoju miasta. Jednakże „mimo swej liczebności – jak piszą autorzy powołując się na prace pochodzącej ze Stoczka amerykańskiej socjolożki Celi Stopnickiej-Rosenthal – Żydzi w Stoczku byli przekonani, że są pogardzaną i często prześladowaną mniejszością”.

Los Żydów ze Stoczka i okolicy (zostali oni tu skupieni) dopełnił się zgodnie z planami hitlerowców. Autorzy szacują, że uratowało życie zaledwie kilkanaście osób, głównie tych, którzy przedostali się na teren Związku Radzieckiego. Książka pokazuje kolejne etapy zagłady – aż do wywiezienia wszystkich do katowni Treblinki. Nie pomija też

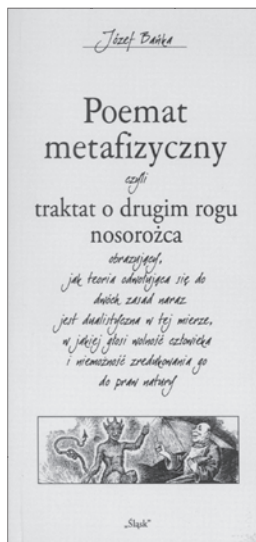
wstydlivego rozszabrowania przez miejscową ludność pozostałego po Żydach mienia. Jest ona w sumie obiektywnym, wykorzystującym dostępne źródła opracowaniem tematu, wzbogaconym przez oryginalne relacje bezpośrednich świadków.

Skromna praca Adama Budzyńskiego i Józefa Pilipczuka ukazała się w szczególnym czasie, kiedy temat stosunków polsko-żydowskich – zwłaszcza w okresie okupacji niemieckiej – stał się przedmiotem ożywionej, a miejscami wręcz rozgorączkowanej dyskusji publicznej. Głównymi jej impulsami były kolejno: – poruszający film Claude’a Lanzmanna „Shoah” (1985), głośny artykuł Jana Błońskiego *Biedni Polacy patrzą na getto* na łamach „Tygodnika Powszechnego” (1987), a następnie bliższe już w czasie książki Jana Grossa – *Sąsiedzi. Historia zagłady żydowskiego miasteczka* (2000), *Strach. Antysemityzm w Polsce tuż po wojnie*. Historia moralnej zapaści. Przebieg tego dyskursu wnikliwie przedstawił Piotr Forecki w wydanej w ubiegłym roku pracy. *Od «Shoah» do «Strachu». Spory o polsko-żydowską przeszłość i pamięć w debatach publicznych*. Zaś dyskurs ten uległ obecnie ponownemu gwałtownemu rozszerzeniu i pogłębieniu za sprawą właśnie wypływających na rynek księgarski takich prac, jak *Złote żniwa* Ireny Grudzińskiej-Gross i Jana Grassa oraz *Jest taki piękny słoneczny dzień. Losy Żydów szukających ratunku na wsi polskiej* Barbary Engelking i *Judenjagd. Polowanie na Żydów, 1942–1945. Studium pewnego powiatu* Jana Grabowskiego.

Przypominając te okoliczności nie mam najmniejszego zamiaru lokowania książki Budzyńskiego i Pilipczuka w ogólnym ciągu tego rodzaju rozliczeniowych publikacji, bo i w samej rzeczy nie przynależy ona do prac odsłaniających jakieś rewelacje mało znane opinii publicznej. Jej założenia są mniejsze, skromniejsze – a jednakowoż jest ona ważna, bo to przecież także z takich cegiełek składana jest szersza wiedza o naszej historii, pozwalająca na odejście od mentalnych stereotypów w jej społecznym postrzeganiu. Jest więc godnym zauważenia przyczynkiem do owej debaty nie pozbawionej wielkiego dramatyizmu.

Marek JAWORSKI

Ku Nadmonadzie



Poprzednie me zapiski dotyczące „lektur nieobowiązkowych” z zakresu poezji uzyskały nieprzewidziane echo. Zarekomendowano mi mianowicie do lektury obszerny, 249 stron liczący tom profesora Józefa Bańki zatytułowany *Poemat metafizyczny czyli traktat o drugim rogu nosorożca*. Rzecz ukazała się w roku 2010 w Katowicach, nakładem oficyny „Słask (Sp. z o.o. – Wydawnictwo Naukowe)”. Na czwartej stronie okładki rzeczonyj publikacji przeczytałem notę biograficzną o jej autorze, osobie tylko o rok ode mnie młodszej (ur. 1934), która ma już 70 wydanych drukiem książek (poprzedni tom poezji – jak się domniemywam „śpiewanej” – nosił tytuł *Rap metafizyczny czyli odezwa wariata z Opatowa do reszty szaleńców*). Józef Bańka jest profesorem filozofii, „niezależnym i oryginalnym myślicielem, twórcą systemu filozoficznego, którego rdzeń wyznaczają: reentywizm (teoria czasu), eutyfronika (filozofia cywilizacji) i etyka prostomyślności.” W odniesieniu do dwóch pierwszych członów owego rdzenia stwierdzić muszę, że nie znałem dotychczas nawet nazw owych, najpewniej fundamentalnych dyscyplin. Z nazwą „prostomyślność” po prawdzie stykam się też po raz pierwszy, ale ponieważ jest bez wątplenia pochodną prostoliniowości, wypada mi ją uznać za neologizm

trafny i klarowny.

Co się tyczy treści komunikatu słownego, jaki przekazuje czytelnikowi profesor Bańka w swym, zamierzonym na istic Dantejską skalę *Poemacie metafizycznym*,

przyznać trzeba, iż narracją tworząca ów utwór należy do rzadko spotykanej odmiany dyskursu filozoficznego, organizowanej na sposób poezjopodobny. Sięgnął po tę konwencję przed kilku laty Jan Górec-Rosiński w odnotowanym na naszych łamach, monumentalnym dramacie poetyckim nawiązującym do *Fausta* Goethego. Autor *Poematu metafizycznego* przywiązany jest do rymów pełnych, najczęściej gramatycznych, popularnie zwanych częstochowskimi („*Marzenia twardsze są od skały [...] a sposób zupełnie nietrwały*” oraz „...*dwa nosorożca rogi [...] dwa stogi [...] dwa barłogi*” – jak widzimy, niekiedy te gramatyczne zbieżności bywają wręcz multiplikowane). Ale nie wyrzeka się rymów niepełnych, asonansów („...*co nie zamara [...] mój biogram – farsa*” lub też „*I tak sobie z niczego i w niczem / Klonując, powiela / Wieczność w nieskończoność – Semplice*”).

Znaczne partie tekstu biegają jednak torem wiersza wolnego, białego, wszakże bez powściągających jego rozmach zabiegów rytmizacyjnych. Znika dzięki temu odczuwalna w polszczyźnie po dzień dzisiejszy trudność z ciągle niezatartymi do cna różnicami pomiędzy samogłoskami długimi i krótkimi oraz pozostałościami po samogłoskach pochyłych, pojęcie „stopa” zaś traci wszelki związek z zabiegami wersyfikacyjnymi dyscyplinującymi artykulację poetycką – staje się narzędziem (organem?) służącym li tylko do nieskrępowanego niczym marszu ku najpełniejszej z możliwych swobodzie ekspresji „wolności człowieka i niemożności zredukowania go do praw natury”. Ani też praw sztuki.

Poemat Józefa Bańki uformowany został z apostrofy wstępnej („Powitanie nosorożca”), 153 różnej długości strof nazwanych przez autora „scholiami” oraz epilogu (zatytułowanego „Pożegnanie z nosorożcem”). Nosorożec ów „*ma rogi dwa*” (dlaczego? – „*pyta dziatwa jakby zła*”). Otóż obdarzony został dwiema „*odrębnymi karczańskimi substancjami*”, gdyż „*jest rodem z metafizyki spinozańskiej / I wie-dzie drugie życie w filozofii pierwszej*”. Owe scholia zaś – to po prostu („*semplice*” – zgodnie z przywołaną przez autora muzyczną dyrektywą wykonawczą!) komentarze średniowiecznych teologów wpisywane przez nich na marginesach manuskryptów starogreckich i starorzymskich, dotyczące ważkich a skomplikowanych kwestii teologicznych i filozoficznych. O tym jednak, w jakim stopniu scholia Józefa Bańki odtwarzają moduły myślenia scholastycznego nie czuję się powołany nie tylko orzekać, ale nawet o podobne zbieżności pytać. Autor *Poematu metafizycznego* poskąpił w tym względzie wszelkich strukturalnych czy też wersyfikacyjnych wskazówek, jakie zawiera w sobie arcywzór poezji metafizycznej – *Boska komedia*.

[Dla przypomnienia: profesor Mieczysław Brahmmer odkrył był kiedyś (we *Wstępie* do pomnikowego wydania *Boskiej komedii* z ilustracjami czołowych grafików owego czasu w Polsce – Józefa Gielniaka, Jana Młodożeńca, Daniela Mroza, Jerzego Panka, Janusza Stannego, Franciszka Starowieyskiego, Jerzego Tchórzewskiego), że w arcyepemacie Dantego „rządzą liczby 3 i 10 – pierwsza z nich jako symbol Trójcy, druga jako znamię doskonałości. {...} Ścisła topografia każdej z tych trzech krain {piekła, czyśćca, raju – W.S.} jest wynalazkiem artysty-wizjonera, wpatrzonego w ideał symetrii, pisarza, który nie pozostawia niczego przypadkowi. Każde z tych trzech królestw obejmuje 9 kręgów, pięter lub nieb (9 jest liczbą uprzywilejowana jako 3x3), a urasta do dziesięciu członów przez dodanie pozostających poza tym podziałem: przedpiekła, raju ziemskiego (w czyśćcu) i Emporium, siedziby Boga (w raju). Podobnie zwrotką poematu jest trzechwierszowa tercyna: każda z trzech jego części zawiera 33 pieśni zbliżonych rozmiarów, nie licząc części pierwszej, wstępnej: całość tedy obejmuje sto pieśni.”]

Nie ma w *Poemacie metafizycznym* żadnych przesłanek do dociekania, jaki algorytm tkwi u podstaw kompozycji tego utworu ani też żadnych wyjaśnień tłumaczących powody, dla których autor zdecydował się zerwać bezwzględnie z wszelkimi rygorami poetyckiego dyskursu filozoficznego. Pogłosy takiego dyskursu dają się może jednak wysłyszeć w końcowym, 153 scholium *Poematu metafizycznego*:

*Przychodzą myśli złowieszcze,
Nic jak dawniej nie idzie.*

*Jesienna w duszy chlapa,
Słowem: kłapa!
W sobie się zamyka –
Żywot za oknem wiedzie samotnika [...]
Tu błysk mej wyobraźni
Kończy się smutkiem –
Jest zbyt krótka droga
Raźni
Do wiecznej Nadmonady.
Mam trudności, by ją odnaleźć!*

[Dla przypomnienia: w 73-cim wersie XXX pieśni *Boskiej komedii* Beatrice objawia swą tożsamość słowami: „Guardaci ben! Ben son! Ben son Beatrice.”] Podmiotowi lirycznemu *Poematu metafizycznego* Józefa Bańki starałem się przypatrywać z najbardziej jak potrafię skupioną uwagą.

Wacław SADKOWSKI

W CZASOPISMACH



Tym razem uwagę naszą zwracają dwa tytuły, których łączy słowo „przeгляд”. Zaczniemy do „PRZEGLĄDU SOCJALISTYCZNEGO”, kwartalnika, który – mimo wszystkich zawirowań historii, przerw i trudności – ukazuje się w naszym kraju od 1892 roku, redagowany obecnie przez Andrzeja ZIEMSKIEGO, a wydawany przez Stowarzyszenie „Praca-Pokój-Sprawiedliwość”.

Z numeru 3 z minionego roku wybieramy rozmowę red. Krzysztofa Lubczyńskiego z prof. Andrzejem WALICKIM zatytułowaną „Pomiędzy Hamletem a Don Kichotem”, co ma charakteryzować – z odwołaniem do tych wielkich figur światowej literatury – osobowość znanego polskiego uczonego. Z wielowątkowej treści rozmowy przytoczymy kilka fragmentów:

„Społeczeństwo nie może podzielić się na prokuratorów i adwokatów pracujących w permanencji. Życie w takim społeczeństwie byłoby nie do zniesienia. Podobnie jest z postulatem życia w prawdzie sformułowanym przez Sołżenicyna i Havla... Byłoby to piekło na ziemi. To właśnie zasady cywilizacji nakazują czasem powściągnięcie się od mówienia prawdy, od wyrażania swojej

opinii... Rozwój cywilizacji zachodniej powoduje, że brutalizmy językowe są coraz bardziej eliminowane z użytku, a ludzie używający takiego języka są odsuwani, potępiani... W Polsce natomiast niektórzy publicyści zaczęli brak poprawności politycznej uważać za przejaw naszej cnoty...posługiwania się własnymi, brutalnymi słowami”.

Odnosząc się do nieodległej przeszłości, do ruchu „Solidarności” i przelomu ustrojowego po czerwcowych wyborach w 1989 r. A. Walicki stwierdza: „Przecież ten ruch nie był początkiem drogi do liberalnego kapitalizmu, był ostatnim tragicznym aktem historii PRL, skutkiem niespełnionych obietnic, w imię których ludzie się zbuntowali. ...Połączenie pozytywnej ewolucji w stronę całkowitej eliminacji strachu z poczuciem obietnic niespełnionych przez socjalizm oraz prymitywna wiara w możliwość ich wyegzekwowania zrodziło ten ruch. Jego konsekwencją był stan wojenny, który okazał się smutną, tragiczną koniecznością”. A potem nadeszła III RP z realizowanym modelem gospodarki neoliberalnej.

ralnej, gorliwie realizowanym przez Leszka Balcerowicza, przy wszystkich wysoce ujemnych następstwach tej gorliwości dla warunków i poziomu życia społeczeństwa.

Na pytanie o stosunki polsko-rosyjskie pada odpowiedź: „Uważam, że błędna była koncepcja zmierzająca do utrzymywania na Zachodzie przekonania, że Rosja jest wielkim zagrożeniem i że na Bugu mamy przedmurze zachodniego świata”, podobnie jak nierealistyczna koncepcja Zbigniewa Brzezińskiego na temat Polski jako lidera regionalnego. „Nierealna z powodu niskiej jakości polskiej klasy politycznej. Zamiast tego zajmujemy się eksportowaniem na Ukrainę i Białoruś zgubnej dla tych krajów rusofobii”.

„Uważam się za lewicowego liberała – wyznaje w innym fragmencie wywiadu – który uważa liberalną demokrację za ustrój chroniący mniejszości. Teoria Schmitta o niezbedności wroga w polityce jest mi z gruntu obca. Dla mnie najważniejszy jest w polityce kompromis i temu pogładowi pozostaję wierny. Lewica nie fundamentalistyczna to jest taka lewica, która domaga się reform na gruncie gospodarki rynkowej, ale nie wolnorynkowej, bo to oznacza nieograniczoną władzę korporacji ponad głowami rządów”. I jeszcze jedno wyznanie Profesora: „Nigdy nie byłem wojującym ateistą, może także dlatego, że byłem na tyle daleko od Kościoła, że nie czułem jego obecności, nie ingerował w moje życie... W Polsce jest zawsze wielu myślących, rozsądnych księży... Nie możemy zapominać, że z polskiego Kościoła katolickiego wywodzili się księża, którzy w końcu stali się antyklerykałami, tacy choćby jak ksiądz Staszic, kompletny deista, który katolików uważał za ślepowierców... Spodziewam się łagodnej sekularyzacji, tego, że katolicyzm ograniczy się do takiej roli jak w Ameryce, bo ten francuski sekularyzm jest dla Polaków chyba zbyt mocny do przyjęcia”.

A teraz po prostu „PRZEGLĄD”, ilustrowany tygodnik opinii, który krok po kroku umacnia swoją pozycję czasopisma niezależnego, uwolnionego od wszelakich wysoce a ujemnych stron polskich mediów. Jest więc czym oddychać, w czym wiele pomocne są myśli płynące m.in. z lektury stałego felietonu prof. Bronisława ŁA-GOWSKIGO. Oto próbka tych myśli zaczerpnięta z tekstu zatytułowanego „Zmiana, zmiana, ale po co?” (numer 11 z 20 marca 2011): „Zabawiam się czasem w kremlinologa i do swoich zajęć dokładam oglądanie moskiewskiej telewizji. Jest ona przyjemnie nudna, odwrótnie niż polska, która jest nieprzyjemnie ciekawa... Telewizja nie ukrywa, że życie w Rosji jest dość brutalne. Nie należy definiować ani oceniać systemu władzy niezależnie od jakości życia społecznego. Biorąc pod uwagę ten wzgląd trzeba rządy Miedwiediewa i Putina określić jako paternalistyczne, a nie autorytarne, jak media światowe głoszą”. I refleksja pro domo sua: Warszawski rząd nie może przekazać społeczeństwu swojego autentycznego stanowiska w różnych sprawach, bo wszystko, co powie, jest zniekształcane przez telewizyjnych dziennikarzy. Wskutek tego my, obywatele,

przeważnie nie wiemy, o co rządowi chodzi, i głupotę dziennikarzy przenosimy na ministrów. W Moskwie na razie tego nie ma – mówię o telewizji, nie o prasie drukowanej – i do Rosjan dochodzi dokładnie to, co prezydent i premier chcą im powiedzieć. Z tego powodu za granicą mówi się, że w Rosji media nie są wolne”.

P.S. A już tak na marginesie, gdy mowa o wolności mediów, wspomnijmy – w przypadku polskiego rynku prasowego – o wolności (nazwijmy ją – dodanej), jaką uzyskało stare dziennikarskie prawnicowe towarzystwo wraz z ukazaniem się – wypączkowanego z dziennika „Rzeczpospolita” – tygodnika, co najmniej dziwnie nazwanego przez nich „Uważam Rze”. Oto oni: Karnowscy, Mazurek, Lisicki, Pyza, Semka, Subotić, Warzecha, Wildstein, Zalewski, Ziemkiewicz ... no, sami swoi i wystarczy. Powodzenia w podjętym ciężkim trudzie za cenę 2,90 gr za egzemplarz liczący 72 bite strony tekstów pełnych różnych smaków i zapaszków.

Wybrał
Ksawery S. PIWOCKI



Z obrad Prezydium Rady Krajowej TKŚ

Pod przewodnictwem prezesa prof. Jerzego J. WIATRA obradowało 12 marca 2011 r. w Warszawie kolejne w obecnej kadencji posiedzenie Prezydium Rady Krajowej Towarzystwa Kultury Świeckiej im. Tadeusza Kotarbińskiego.

Zebrani omówili ramowy program działań programowych Towarzystwa, który obejmuje organizację konferencji naukowych i innego typu spotkań poświęconych kluczowym, z punktu widzenia humanistycznego ruchu świeckiego, kwestiom współczesnego świata i Polski. W polu zainteresowania ruchu znajdują się kwestie przemian związanych z postępującymi procesami sekularyzacji i laicyzacji życia społecznego, współczesne kwestie moralne oraz zagadnienia nierówności społecznych i ich wpływu na stan polskiej demokracji. Prezydium przyjęło stosowne postanowienia w tych sprawach.

Prezydium Rady przeprowadziło też, po raz kolejny, dyskusję nad kwestią przystąpienia Towarzystwa do grona organizacji pożytku publicznego. Wprowadzenia do wymiany opinii dokonała prezes Rady Podbeskidzkiej TKŚ mgr Anna CZAPŁA, znakomicie zorientowana w problematyce. Zróżnicowane w tej sprawie opinie zebranych, uwzględniające biurokratyczny system organizacji i nadzoru działalności tych organizacji przez administrację państwową, nie czynią tej inicjatywy atrakcyjną dla niewielkich stowarzyszeń, których nie stać na opłacanie kosztów związanych z obsługą techniczno-administracyjną czynności wynikających z uzyskanego statusu. Prezydium postanowiło kontynuować prace studyjne w tej kwestii.

Wysłuchano też informacji o bieżących pracach Prezydium Rady.

Walne Zgromadzenie Polskiego Towarzystwa Religioznawczego

W dniu 12 lutego 2011 r. w Warszawie w jednej z sal Pałacu Staszica odbyło się XVII Walne Zgromadzenie Polskiego Towarzystwa Religioznawczego. To działające od blisko 60 lat towarzystwo naukowe jest trwale zapisane swoim dorobkiem w polskiej nauce i kulturze. Na dorobek ten składają się indywidualne osiągnięcia badawcze członków Towarzystwa wyrażane ważnymi publikacjami religioznawczymi, działalność wydawnicza, której najbardziej wyrazistym świadectwem jest systematycznie wydawane czasopismo „Przegląd Religioznawczy” i jest udział Towarzystwa i jego członków w organizacji wielu konferencji i zjazdów naukowych (jak np. ubiegłoroczny Zjazd Religioznawczy w Poznaniu).

O tych i wielu innych doświadczeniach i dorobku ostatnich pięciu lat mówiono obszernie na wspomnianym Walnym Zgromadzeniu PTR: zarówno w referacie sprawozdawczym prezesa PTR prof. Zbigniewa STACHOWSKIEGO jak i w dyskusji, w której głos zabierali m.in. prof. prof. Zbigniew DROZDOWICZ, Henryk HOFFMAN, Jerzy KOJKOŁ, Wiesław MYŚLEK i Andrzej SZYJEWSKI.

Zgromadzenie zaaprobało z uznaniem działalność dotychczasowych władz Towarzystwa, przyjęło uchwałę o organizacji we wrześniu 2011 r. Konferencji Religioznawczej w Toruniu oraz zalecenia dotyczące dalszego rozwijania działalności wydawniczej. Zgromadzenie dokonało wyboru władz Towarzystwa, powierzając ponownie funkcję prezesa prof. Zbigniewowi STACHOWSKIEMU, oraz dokonując wyboru Komisji Rewizyjnej i Sądu Koleżeńskiego.

W obradach Zgromadzenia udział brali jako członkowie Towarzystwa, a zarazem działacze władz krajowych Towarzystwa Kultury Świeckiej im. Tadeusza Kotarbińskiego – mgr Wacława MIELEWCZYK, dr Leonard PEŁKA i dr Zdzisław SŁOWIK, których wybrano też do władz statutowych PTR.

WM

TKŚ NA ZIEMI WIELKOPOLSKIEJ

Towarzystwo Kultury Świeckiej im. Tadeusza Kotarbińskiego wydatnie powiększyło ostatnio potencjał swojej obecności w życiu społecznym i polskiej kulturze. Po kilkuletniej przerwie wznowił działalność oddział Towarzystwa na Ziemi Wielkopolskiej.

7 marca 2011 r. w Poznaniu, z inicjatywy grupy osób reprezentujących różne środowiska, zebrało się zgromadzenie, które po omówieniu i przedyskutowaniu założeń programowych Towarzystwa oraz rozważeniu jego najważniejszych zadań, zdecydowało o powołaniu Wielkopolskiej Rady Wojewódzkiej Towarzystwa Kultury Świeckiej im. Tadeusza Kotarbińskiego.

Zebrani wybrali zarząd Rady powierzając funkcję jej prezesa dr Arkadiuszowi OGRODOWCZYKOWI, znanemu i cenionemu działaczowi społecznemu Ziemi Wielkopolskiej.

X.

BIBLIOTEKA

IM. PROF. STEFANA KRZYSZTOSZKA

W Koszalińskiej Wyższej Szkole Humanistycznej odbyła się 16 października 2010 r. szczególnie wzruszająca uroczystość: Bibliotece Uczelni nadano imię profesora Stefana KRZYSZTOSZKA, cenionego historyka myśli pedagogicznej i długoletniego pracownika naukowego tej Uczelni, zmarłego nagle przed dwoma laty.

Prof. Stefan Krzysztozek, a pragniemy na tym miejscu wspomnieć o tym szczególnie serdecznie, był też wybitnym, długoletnim działaczem polskiego humanistycznego ruchu świeckiego, oraz wielkim przyjacielem i współpracownikiem „RES HUMANA”.

W uroczystości, obok władz Uczelni z rektorem prof. Adamem MOŚCICKIM oraz kanclerzem mgr Zygfrydem WALCZAKIEM, oraz obecnym też senatorem RP dr Włodzimierzem CIMOSZEWICZEM, wykładowcą Uczelni, uczestniczyła najbliższa rodzina zmarłego: wdowa prof. Zofia KRZYSZTOSZEK oraz wnuczka Patrona Biblioteki.

WM

SPOTKANIA REDAKTORA NACZELNEGO „RES HUMANA”

W lutym 2011 r. redaktor naczelny „RES HUMANA” odbył dwa spotkania, będąc najpierw zaproszonym przez prof. Krzysztofa DUNINA-WĄSOWICZA gościem działaczy Polskiej Partii Socjalistycznej skupionych w Komisji Historycznej Rady Naczelnej tej wybitnie zasłużonej dla Polski partii polskiej lewicy, a następnie, na zaproszenie prof. Longina PASTUSIAKA, uczestniczył w spotkaniu w Klubie Współczesnej Myśli Politycznej w Gdańsku.

Oba spotkania, skupione na różnych aspektach sytuacji wyznaniowej w Polsce, tak w nieodległej przeszłości jak i współcześnie, były okazją do szerszych refleksji na temat współczesnych przemian społecznych i kulturowych w globalizującym się świecie.

AB

